

# odgłosy



Nr 44 (348)  
I. XI. 1964 R.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII



KONRAD FREJDLICH

## ZIELONE i BIAŁE

Około południa dziewczyna, przesiadująca tak na skwerze od białego dnia, zaczęła dokuczać swoim milczeniem całemu miastu, więc jedna z Wiśniewskich, ta z kombinatu (bo druga pracuje w sklepie) zatroskała się, czy nieznajoma przypadkiem nie chora. Słońce było okrutne i o udar łatwiej niż o wołowinę, toteż od razu zgadły się z sąsiadką, że przeniosą dziewczynę do mieszkania. W porównaniu z ukropem na dworze, w mieszkaniu panował mimo wszystko miły chłodek i nieznajoma jakby się ocknęła, a nawet zapytała o łazienkę. Nie minęło pół godziny, a dziewczyna wyszła do swych przypadkowych opiekunek odświeżona kąpielą i jakby dorodniejsza, tyle że dalej słaba, bo już zupełnie leciała im przez ręce.

Wezwwały więc pogotowie i z niejakim żalem pomogły ulokować obiekt zainteresowania całego miasteczka w karetce sanitarnej. Ale przecież nie wiedziały jeszcze, że wcale nie zostały zubożone. Ich ludzki odruch został nagrodzony więcej niż wspaniałomyślnie. Gdy bowiem Wiśniewska wkręciła w chwilę później do łazienki, nie wierząc najpierw swym uszom, a potem i oczom odkryła pod wanną noworodka, który jeszcze oddychał, choć trzeba to stwierdzić, coraz niechętniej. W niecałą godzinę wiadomość o odkryciu obiegła już całe miasteczko, a więc nieco wcześniej niż milicja wydobyla zeznanie od nieznajomej. W ten sposób Wiśniewska w jednej chwili wyrosła na bohaterkę nr 1 Zambrowa anno 1964, przemawiając sławą główną osobę dramatu zwłaszcza, że jej zeznanie potwierdziło przeczcucia wszystkich. Wiadomo było przecież co się dzieje i pewnie dzieć będzie w Domu Młodego Robotnika.

Aliści nieznajoma sprawiła nową niespodziankę. Rewelacje z nią związane zachwiały nawet wiarę porządnym obywatelom w dotychczasowy system wartości. Bo oto drobniagowe dochodzenie wykazało niezbitie, że nieznajoma ze skweru nigdy nie była pracownicą kombinatu bawelnianego, a tym bardziej mieszkanką Domu Młodego Robotnika. Pochodziła z pobliskiej wsi i jeszcze wczoraj pracowała przy młocze w ojcowskiej stodole. A, że słyszała niejedno o hotelu robotniczym podała się za mieszkankę, bo tak wyglądała najprawdopodobniej.

Dalszy ciąg na str. 3

ANNA MAREWICZ

## Moja trzecia szczoteczka do zębów

Pierwszą z tych pamiętnych szczoteczek kupiłam w kiosku na małym dworcu w Z., w okresie kiedy sprawy osobiste zmusiły mnie do opuszczenia Łodzi i zainstalowania się na prowincji. Stało się to dość nagle, nie więc dziwnego, że pakując rzeczy zapominałam zabrać niektórych drobiazgów.

Z początku było bardzo przyjemnie: dom odcięty od świata, ogród pod śniegiem, żadnych natrętnych znajomych, cisza, relaks. W pogodne dni wędrowaliśmy na nartach przez bajkowo piękne lasy, zaś w nocy od czasu do czasu śnił mi się Klub

Dziennikarzy i natrętni znajomi. Wiosną zaczęłam chudnąć i obgryzać paznokcie.

Pani doktor w Kielecach wysłuchała wyjaśnienia o sprawach osobistych i doradziła zmianę otoczenia. Wobec tego Sprawy Osobiste kupiły nową walizkę i złożyły podanie o urlopie.

Takie już mam zęby, że każdą szczoteczkę wykańczam w parę miesięcy. Toteż nie przejęłam się zbyt, gdy na dworcu w Suwałkach uprzytomniłam sobie, że muszę kupić nową, bo stara została w Z. Kupiłam, wsiedliśmy w autobus i wkrótce rezydowałam już w domku cam pingowym nad jeziorem Wigry.

Było bardzo przyjemnie. Trzciny szumiały, zarosnięci panowie w łódkach informowali się półgłosem czy rybka bierze, poza tym cisza jak makiem zasiał. Pierwszego ranka zbudzono mnie o świcie i poinformowano, że o tej porze ryba najlepiej bierze. Oświadczyłam, że mnie to nic nie obchodzi, wobec tego Sprawy Osobiste powiedziały „jak sobie chcesz” i poszły szukać robaków.

Przez trzy tygodnie uprawiałam ryby, a Sprawy Osobiste zapuszczały niechlujną brodę. Coraz częściej śnił mi się Klub Dziennikarzy, zaś natrętni znajomi chodzili stadami po Piotrkowskiej i śmiali się ze mnie w kulkach.

Po powrocie zameldowałam się znów w Poradni Zdrowia Psychicznego. Miałam oczy podkrążone z niewyspania i podskakiwałam na krześle przy każdym hałasie.

Pani doktor była niezadowolona: — Znowu pani schudła i zmizerniała! Co ja mam z panią zrobić?

Potem kazala mi opowiadać o moim dzieciństwie i w ogóle zadawała różne dziwne pytania. Wreszcie postukała mnie

młotkiem w kolano, zbadala puls i orzekła, że najwyższy czas zabrać się do systemu matycznego leczenia.

Patrząc jak wypisuje receptę wspominałam dziesiątki podobnych recept, które pełna nadziei oddawałam w aptekach. Lekki przez krótki czas skutkowały, potem powracała niczym nie uzasadniona depresja, rozdrażnienie, lęk. Otaczałam się talizmanami, stukalałam w nie malowane drewno — to też nie pomagało. Dlaczego lekarze zapisywali mi pigułki i mikstury a nie pomyśleli o bardziej radykalnej pomocy? Odchrząknęłam i zaryzykowałam pytanie.

Pani doktor podniosła na mnie oczy: — Naprawdę chce pani do Kościana?

Od dawna intrygowała mnie fama tego sanatorium. Słyszałam o wspaniałych wynikach przeprowadzanych tam kuracji, wiedziałam, że jest to największy tego typu zakład w Polsce, wzorowo zorganizowany, dysponujący wszelkimi środkami, przewidzianymi dla leczenia chorób nerwowych i psychicznych.

Tylko że na Kościan długo się czeka — uprzedzała mnie pani doktor. — Nieraz i pół roku.

Nie czekałam pół roku. Od chwili załatwienia wstępnych formalności upłynęły niecałe dwa miesiące, gdy listonosz wręczył mi druczek z sanatorium, informujący, że mam się zgłosić tego a tego dnia, przedłożyć takie to a takie zaświadczenia, wreszcie — że pacjenci prywatnie płacą 20 złotych dziennie.

Należałam do tej ostatniej kategorii toteż odetchnęłam z ulgą: spodziewałam się, że kuracja będzie o wiele droższa.

W deszczowy poranek wysiadłam na dworcu w Kościanie. Nie byłam sama. Znajomi utrzymywali, że w Sanatorium

dobrze jest widziane, kiedy pacjenta odwozi ktoś z bliskich. Teraz, po długiej podróży i dwóch przesiadkach — w Warszawie i Poznaniu — towarzysząca mi Bliska Osoba sama wyglądała na chorą, ale optymizm jej nie opuszczał.

— Zaraz będziemy na miejscu — pocieszała mnie. — Odpocznijemy, umyjemy się...

Zacząłam się rozglądać za kioskiem „Ruch”. Dwie szczoteczki do zębów pozostały w Z. Kiosku nie było w pobliżu, deszcz lał coraz gwałtowniej. Zmoczona do nitki stanęliśmy przed wejściem, nad którym czerwona tablica oznajmiała mi, że dojechałam wreszcie do upragnionego azylu, mającego przywrócić mi równowagę duchową. Wyszliśmy do izby przyjęć. Była godzina 7.30.

Dyzurująca siostra spisała moje dane na formularzu, po chwili wyszła młoda i przystojna lekarka, zapytała co mi dolega i znów coś zapisała. Potem ulokowano nas w poczekalni.

Siedząc na zgrabnych, nowoczesnych krzesłkach, skracaliśmy sobie czas studiowaniem wiszącego na ścianie regulaminu. Wynikało z niego, że rozkład zajęć w sanatorium zaplanowany jest co do minuty. Dzień rozpoczyna się wcześniej: czas między 6.30 a 7.00 przeznaczony na wstawanie. Potem gimnastyka, mycie, śniadanie, chwila odpoczynku, zabieg. Między 12.00 a 13.00 obiad, później poobiednia cisza. Parę godzin dziennie przeznaczono na terapię zajęciową. Regulamin głosił ze szczególnym naciskiem, że chorym nie wolno uchylać się od narzuconych im zajęć, gdyż też sposób leczenia.

Dalszy ciąg na str. 5



Już niecały tydzień dzieli Stany Zjednoczone od wyborów prezydenckich. Ostatnie dni mogą wprawdzie zastrzyć jeszcze i tak „jedną z najbardziej brutalnych” kampanii wyborczych — nie zmienia jednak z pewnością szans kandydatów partii demokratycznej i republikańskiej. Najświeższe badania ankietowe wykazują, że ok. 64 proc. głosujących opowie się za Johnsonem. Jaka to będzie liczba — trudno przewidzieć. W chwili obecnej uprawnionych jest do głosowania ponad 114 mln osób, jednakże do urn wyborczych udaje się zazwyczaj nie więcej niż 60 proc. wyborców. Oczywiście, kandydowanie Goldwata może te sytuacje zmienić!

Kandydat demokratyczny — by znów odwołać się do ankiety — może podobno liczyć na 92 proc. głosów członków swej partii, 27 proc. głosów członków partii republikańskiej i, oczywiście, znaczną część niezdecydowanych i niez zaangażowanych wyborców.

Pewna liczba z nich decyduje będzie na zasadzie „mniejszego zła”. Charakterystyczne pod tym względem są plakaty, jakie ostatnio pojawiły się na murach niektórych miast amerykańskich. Głozą one: „Nawet Johnson lepszy jest od Goldwata”.

Pisaliśmy już kiedyś na tym miejscu, jakimi to atutami wobec kontrpartiera rozporządza Johnson. Powtórzmy je w skrócie: fałst, że dopiero niedawno zasiadł on na fotelu prezydenckim, że jako urzędujący prezydent może skutecznie oddziaływać na opinię publiczną, że złożył już dowody swego doświadczenia i opanowania. Na jego korzyść przede wszystkim działa jednak będzie obawa przed wojną termojądrową, do której poręczność, wojowniczość i nieodpowiedzialność Goldwata mogą przybliżyć Stany Zjednoczone.

Podstawowa różnica między obu tymi kandydatami polega na tym, że podczas gdy Johnson jest pragmatykiem, względnie realnie oceniającym sytuację i pozostawiającym zawsze nie zatrasniętą furtkę — Goldwater jest fanatykiem nie obliczającym następstw swoich kroków.

Ten ostatni skupia jednak wokół swojej osoby wszystkich, którzy z przeróżnych przyczyn wyrażają niezadowolone i protest. Dysponuje on ponadto sprawną organizacją i stale wzrastającymi funduszami. Oblicza się, że na terenie Stanów Zjednoczonych działa ok. 1800 krajnie prawicowych organizacji, których dochody w ciągu ostatniego roku przekroczyły 25 mln dolarów. Te środki w dużym stopniu pozostawiono do dyspozycji Goldwata.

Przypominam o tych faktach przede wszystkim dlatego, by Czytelnicy nie odnieśli wrażenia, że wraz z przegraną senatora z Arizony, której jesteśmy raczej pewni, zniknie zjawisko „goldwateryzmu”. Może to wydawać się dziwne, ale wybory listopadowe interesują świat

głównie nie dlatego, by dowiedzieć się jak popularny jest Johnson, ale dlatego, by dowiedzieć się, jak głębokie są nastroje progoldwaterowskie. Do rozważań na ten temat będziemy mieli okazję jeszcze powrócić.

Tymczasem zorientujemy Czytelników w procedurze wyborczej w Stanach Zjednoczonych.

Wyborcy nie oddają swych głosów bezpośrednio na prezydenta. Mogą to uczynić jedynie elektorzy, reprezentujący partię, która otrzymała większość. Teoretycznie elektorzy mogą dokonywać swobodnego wyboru, rzadko jednak głosują na kogoś innego niż oficjalny kandydat. Obowiązują przy tym prawie zawsze zasady: „zwycięzca bierze wszystko, przegrany traci wszystko”. Tak więc kandydat, w którego padła większość głosów w danym stanie, otrzymuje głosy wszystkich elektorów.

Niekiedy prowadzi to do paradoksów. Tak na przykład wydarzyło się w r. 1888. Mimo iż kandydat partii demokratycznej uzyskał wówczas o 101 tys. głosów więcej niż republikański, prezydentem został ten ostatni — Harrison. Stało się tak, ponieważ uzyskał 233 głosy elektorów, podczas gdy demokraci — 168.

Obecnie kolegium elektorów — każdemu stanowi przysługuje tyle głosów elektorów, ile ma senatorów i reprezentantów w Kongresie — liczy 538 osób. Bez względu na większość wynosi zatem 270.

Jaka większość dysponować będzie Johnson — wkrótce się przekonamy.

Prócz wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych w ostatnim okresie potocznie zainteresowanie kieruje się również na Londyn, gdzie rozpoczyna pracę nowy gabinet.

Aktualnie komentatorzy koncentrują uwagę na waszyngtońskiej podróży min. Gordon-Walkera i domniemywanym spotkaniu Wilsona de Gaulle. Oba te dialogi będą z pewnością miały poważne znaczenie. Po zwycięstwie bowiem partii pracy zmieni się nieco układ sił w bloku atlantyckim: zwiększyła ilość rozbieżnych punktów między W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, zmniejszy natomiast między W. Brytanią a Francją.

Zdaniem „Combat” powstała nawet sytuacja, kiedy „koordynacja” wzajemnej polityki Londynu i Paryża staje się kategorią politycznym imperatywem.

Jakie to wspólne cechy mają charakterystyczne aktualnych przywódców Francji i Anglii?

Przede wszystkim: niechęć do hegemonii amerykańskiej, urogię stanowisko wobec amerykańskiej wersji sił multilateralnych, przeciwstawianie się integracji W. Brytanii z „Europejską Wspólnotą Gospodarczą”, przychylny stosunek do wprowadzenia Chińskiej Republiki Ludowej do ONZ, uznawanie granicy na Odrze i Nysie za ostateczną...

Zapowiadając rychłe spotkanie Wilsona z de Gaulle'em niektórzy komentatorzy piszą, że byłoby to „spotkanie dwóch izolowanych”.

Na scenie politycznej bloku atlantyckiego zanosi się zatem na ciekawe widowisko. Będziemy je obserwować przede wszystkim pod kątem, jakie może to mieć następstwa w dziedzinie dalszego odprężenia sytuacji międzynarodowej.

W. SŁAWSKI



W Turynie zamieszkuje razem przy ul. Tassoni.

— „Rano wszyscy szli do pracy. Zostawała tylko matka i Franka, która oczekiwała kolejnego dziecka. W soboty Turyn otwierał przed nami swoje kina, kawiarnie, parki i stadiony. Niedziela upływała na rozmowach z sąsiadami”.

Wspólnym marzeniem Giuseppe i Franki było mieć własne mieszkanie. Marzeniem Giuseppe było zostać mechanikiem, i został nim. Majster fabryki samochodów zaproponował mu stanowisko brygadzysty.

— „Tego dnia wróciłem do domu, w którym miałem już własne mieszkanie tj. własny pokój z łóżkiem, komodą, szafą, ustawiliśmy w nim oddzielne łóżeczko dla dzieci. Zdawało mi się, że nie już nie zmienię się w moim życiu, że tak będzie zawsze. Byłem dobrym fachowcem, a tacy jak ja specjalności zawsze znajdują pracę... i awans czeka, można zostać majstrem”.

Tymczasem do Turynu przyjeżdżali wciąż nowi ludzie — starzy i młodzi, przybywali z ubogiej Sycylii, znajdowali pracę i rozpowiali nowe, godne człowieka życie. Wielu oyle z Katanii. Patrzyli z podziwem na dobrobyt, w jakim żyła rodzina Arno, w własnym mieszkaniu, z własnymi meblami. Pewnego dnia Franka po raz pierwszy wplaciła do kasy oszczędności 10 tysięcy lirów!

— „Od tej chwili wszystkie zaczęło staczać się w dół. Przyszła seria niepowodzeń. Wszystkie zaczęło się od ataku ślepej kizki. Giuseppe znalazł się w szpitalu i wtedy wyszło na jaw, że firma w której pracował nie płaciła ubezpieczeń, koszt leczenia był znaczny”.

Bojąc się utracić pracę Giuseppe wraca z wczesnie do fabryki. Nie zrosnięta dobrze blizna otworzyła się i trzeba było znów wędrować do szpitala. Gdy wyzdrowiał tytułem odškodowania wypłacono mu 36 tysięcy lirów i... podziękowano za pracę.

— „Do późna w nocy rozmawiałem z żoną. Odrobina odwagi... tym bardziej, że w izbie było nas już ośmioro. Gdy odjeżdżałem, zegnali mnie wszyscy, rodzina i znajomi. Mama przyniosła koszyk z jedzeniem, wuj butelkę wina, a Franka groziła, że w razie zdrady własnoręcznie przebije mnie nożem. Na studiach w Turynie nie było kolegów. Poczułem strach... Obce, nieznanie miasto — a ludzie... Zaczepiony przechodząc na pytanie, gdzie znajduje się hotel — „naucz się się wpiąć mówić po włosku” — rzucił, i poszedł dalej. Ale jakiś ródak z Sycylii wskazał mi hotel, za nocleg zapłaciłem 2000 lirów. Roboty na razie nie było. Dał mi ją dopiero właściciel tej fabryki, gdzie pracował znajomy. Była to praca na godziny, bez żadnych uprawnień. Pewnej soboty zorientowałem się, że mam tylko 600 lirów, to jest tyle ile kosztuje bilet powrotny. Kupiłem go nie chcąc więcej oglądać Turynu”.

W niecałe dwa lata później, gdy nastąpił okres gospodarczej prosperity — Giuseppe wraca do Turynu.

— „Tym razem byłem szczęśliwy, że wracam. W Turynie był już ojciec, brat i siostra. Znaleźli pracę, zarabiali dobrze. Zdecydowałem się pojechać razem z żoną i dziećmi”.

Tu rozpoczyna się druga seria doświadczeń życiowych Giuseppe Arno. Stara matka towarzyszy dzieciom

W Turynie zamieszkuje razem przy ul. Tassoni.

— „Rano wszyscy szli do pracy. Zostawała tylko matka i Franka, która oczekiwała kolejnego dziecka. W soboty Turyn otwierał przed nami swoje kina, kawiarnie, parki i stadiony. Niedziela upływała na rozmowach z sąsiadami”.

Wspólnym marzeniem Giuseppe i Franki było mieć własne mieszkanie. Marzeniem Giuseppe było zostać mechanikiem, i został nim. Majster fabryki samochodów zaproponował mu stanowisko brygadzysty.

— „Tego dnia wróciłem do domu, w którym miałem już własne mieszkanie tj. własny pokój z łóżkiem, komodą, szafą, ustawiliśmy w nim oddzielne łóżeczko dla dzieci. Zdawało mi się, że nie już nie zmienię się w moim życiu, że tak będzie zawsze. Byłem dobrym fachowcem, a tacy jak ja specjalności zawsze znajdują pracę... i awans czeka, można zostać majstrem”.

Tymczasem do Turynu przyjeżdżali wciąż nowi ludzie — starzy i młodzi, przybywali z ubogiej Sycylii, znajdowali pracę i rozpowiali nowe, godne człowieka życie. Wielu oyle z Katanii. Patrzyli z podziwem na dobrobyt, w jakim żyła rodzina Arno, w własnym mieszkaniu, z własnymi meblami. Pewnego dnia Franka po raz pierwszy wplaciła do kasy oszczędności 10 tysięcy lirów!

— „Od tej chwili wszystkie zaczęło staczać się w dół. Przyszła seria niepowodzeń. Wszystkie zaczęło się od ataku ślepej kizki. Giuseppe znalazł się w szpitalu i wtedy wyszło na jaw, że firma w której pracował nie płaciła ubezpieczeń, koszt leczenia był znaczny”.

Bojąc się utracić pracę Giuseppe wraca z wczesnie do fabryki. Nie zrosnięta dobrze blizna otworzyła się i trzeba było znów wędrować do szpitala. Gdy wyzdrowiał tytułem odškodowania wypłacono mu 36 tysięcy lirów i... podziękowano za pracę.

— „Do późna w nocy rozmawiałem z żoną. Odrobina odwagi... tym bardziej, że w izbie było nas już ośmioro. Gdy odjeżdżałem, zegnali mnie wszyscy, rodzina i znajomi. Mama przyniosła koszyk z jedzeniem, wuj butelkę wina, a Franka groziła, że w razie zdrady własnoręcznie przebije mnie nożem. Na studiach w Turynie nie było kolegów. Poczułem strach... Obce, nieznanie miasto — a ludzie... Zaczepiony przechodząc na pytanie, gdzie znajduje się hotel — „naucz się się wpiąć mówić po włosku” — rzucił, i poszedł dalej. Ale jakiś ródak z Sycylii wskazał mi hotel, za nocleg zapłaciłem 2000 lirów. Roboty na razie nie było. Dał mi ją dopiero właściciel tej fabryki, gdzie pracował znajomy. Była to praca na godziny, bez żadnych uprawnień. Pewnej soboty zorientowałem się, że mam tylko 600 lirów, to jest tyle ile kosztuje bilet powrotny. Kupiłem go nie chcąc więcej oglądać Turynu”.

W niecałe dwa lata później, gdy nastąpił okres gospodarczej prosperity — Giuseppe wraca do Turynu.

— „Tym razem byłem szczęśliwy, że wracam. W Turynie był już ojciec, brat i siostra. Znaleźli pracę, zarabiali dobrze. Zdecydowałem się pojechać razem z żoną i dziećmi”.

Tu rozpoczyna się druga seria doświadczeń życiowych Giuseppe Arno. Stara matka towarzyszy dzieciom

# POLONICA

KONGRES SOCJOLOGÓW

W Quebec (Kanada) odbył się w dniach od 28 września do 5 października br. piąty z kolei światowy kongres „Association Internationale des sociologues de langue française” z udziałem wybitnych uczonych wielu krajów Europy i Ameryki. Tematem tegorocznego kongresu była rola klas społecznych we współczesnym świecie. W czasie debat zabierali głos prof. Jacques Berque (Paryż), prof. Roger Girod (Genewa), prof. Roberto Treves (Mediolan), prof. Oleg Mandic (Zagrzeb) i wielu innych. Z polskich uczonych wziął udział w kongresie prof. Jan Szczepański, który mówił na temat społecznych mikrostruktur w Polsce. Referat Jana Szczepańskiego uznano za jedną z najciekawszych wypowiedzi kongresu socjologów w Kanadzie.

## OPOWIADANIE O ŻELAZOWEJ WOLI

Nakładem Deutscher Millitärverlag w Berlinie wschodnim ukazało się opowiadanie Kurta Davida pt.: „Das Haus im Park” (Dom w parku), którego akcja dzieje się w czasie wojny w Żelazowej Woli. Bohaterami noweli są oficer niemiecki i polska pianistka Halina. Mimo, iż w czasie wojny nie wolno było grać utworów Chopina, oficer niemiecki nie ma nic przeciwko temu i pozwala pianistce na granie zakazanych rzeczy, za co dostaje się w końcu do karnej kompanii. Opowiadanie napisane ze zrozumieniem spraw polskich i znajomością rzeczy zasługuje na uwagę. Warto przy tej sposobności przypomnieć, że mniej więcej przed rokiem wyszła spod pióra tegoż Kurta Davida obszerne książka o Polsce pt.: „Polnische Etüden”, opisująca nasz kraj — jak głosi jej podtytuł — od Sopotu do Zakopanego. Książka zawiera dwie mapki Polski oraz liczne ilustracje w tekście a także małe leksykon spraw polskich, umieszczony na końcu książki. „Polnische Etüden” są wynikiem po dróży autora po Polsce, który odwiedził również Łódź i napisał o niej osobny rozdział. Trzeba dodać, że jest to książka bardzo pożyteczna, szerząca wiedzę o nowej Polsce na rynku niemieckim.

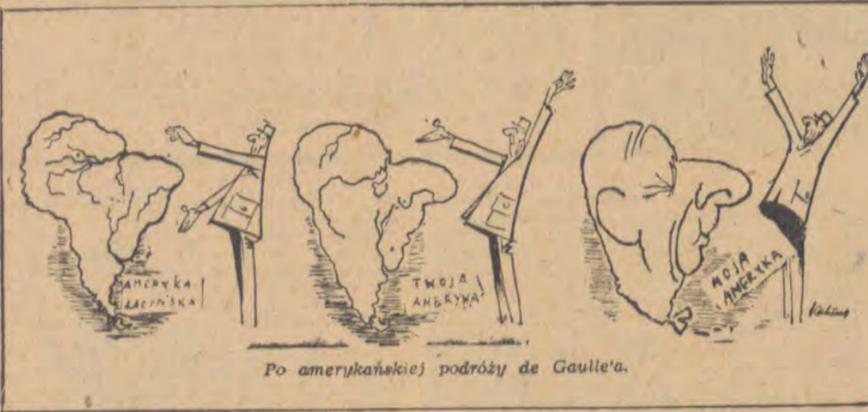
## TADEUSZ KONWICKI I ZBIGNIEW HERBERT PO NIEMIECKU

Poważna firma wydawnicza Suhrkamp Verlag we Frankfurcie nad Menem wydała w serii „edition suhrkamp” tom wierszy Zbigniewa Herberta pt.: „Gedichte” (Poezja) w nakładzie 8 tysięcy egzemplarzy. Przekładów dokonał znany i znakomity tłumacz poezji polskiej Karl Dedecius, który opatrzył również tom posłowiem o istocie twórczości Herberta. Tomik poprzedza nota biograficzna oraz fragment recenzji o wierszach Herberta, pióra Jerzego Kwiatkowskiego. „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego ukazał się nakładem monachijskiej firmy Biederstein Verlag, w przekładzie Peter Lachmana. Warto sobie uprzytomnić, że Peter Lachmann jest poeta, który pisze swoje wiersze również w języku polskim (kilka razy drukowała jego utwory nasza „Twórczość”). Powieść Konwickiego mająca doskonałą prasę, dobrze reprezentującą nasze piśmiennictwo współczesne w Niemczech zachodnich.

## POLSKIE SŁUCHOWISKO W RADIU LONDYŃSKIM

14 października br. radio londyńskie nadało słuchowisko Zbigniewa Herberta o Ho merze. Prasa londyńska bardzo pochwalila zarówno samą sztukę, jak i jej wykonanie aktorskie, zwłaszcza wysoko oceniła wykonawcę roli głównej. Prasa przypomniła również, że inne utwory Herberta nadane zostały w radio brytyjskim, między innymi słuchowisko „Jaskinia filozofów”. Także wiersze tego autora przetłumaczono na język angielski i opublikowano w oddzielnym tomie. Wstrze mliżliwa zazwyczaj, jeśli chodzi o cudzoziemców, krytyka angielska, nie szczędziła wyrazów uznania dla wierszy polskiego poety.

Oprac. M. TYMOWSKA



# GORYCZ POWROTU

(Reportaż z tyg. „Epoca”)

Turyn. Stacja kolejowa. Peron 18. Stąd każdego wieczoru odjeżdża na południe pociąg zrozpaczonego ludz. Jednym z nich jest 24-letni Giuseppe Arno, jego żona ma lat 20. Jest z nimi troje dzieci — najstarszy

ośmiolatek Horacy, dwie młodsze dziewczynki i czwarte, które za miesiąc powiększy rodzinę.

— „Zrobiłem wszystko — mówi Giuseppe Arno — aby zostać w Turynie. Całymi miesiącami szukałem pracy, ale z każdym dniem byliśmy coraz bardziej głodni. Nie miałem wyboru, musiałem zdecydować się na wyjazd”.

Pociąg rusza powoli — z okien wyciągnięte ręce żegnają tych, którzy zostali. Wolno oddalają się światła domów i ulic — pozostaje noc.

Giuseppe spogląda na zegarek: — „Jeszcze 4 godziny temu byłem w fa-

bryce, gdzie obiecywano mi pracę. Gdybym ją otrzymał... niestety...”

Giuseppe Arno jest rodem z Katanii.

— „Mój ojciec był murarzem. Pracował ciężko, zarabiał mało. Całe życie marzyłem, aby zostać mechanikiem. Każdą wolną chwilę spędzałem w warsztacie przy ul. Palermo. Pamiętam, jak będąc dzieckiem usiłowałem przy pomocy klucza francuskiego odkręcić nakrętki — nawet nie drgnęły, a mnie ręce paliły jak ogień. Wtedy właśnie zachorował ojciec. Musiałem zająć jego miejsce, bo byłem najstarszy, choć liczyłem tylko 10 lat. Zna-

byłem w Turynie, gdzie obiecywano mi pracę. Gdybym ją otrzymał... niestety...”

# ZIELONE i BIAŁE

Dalszy ciąg ze str. 1

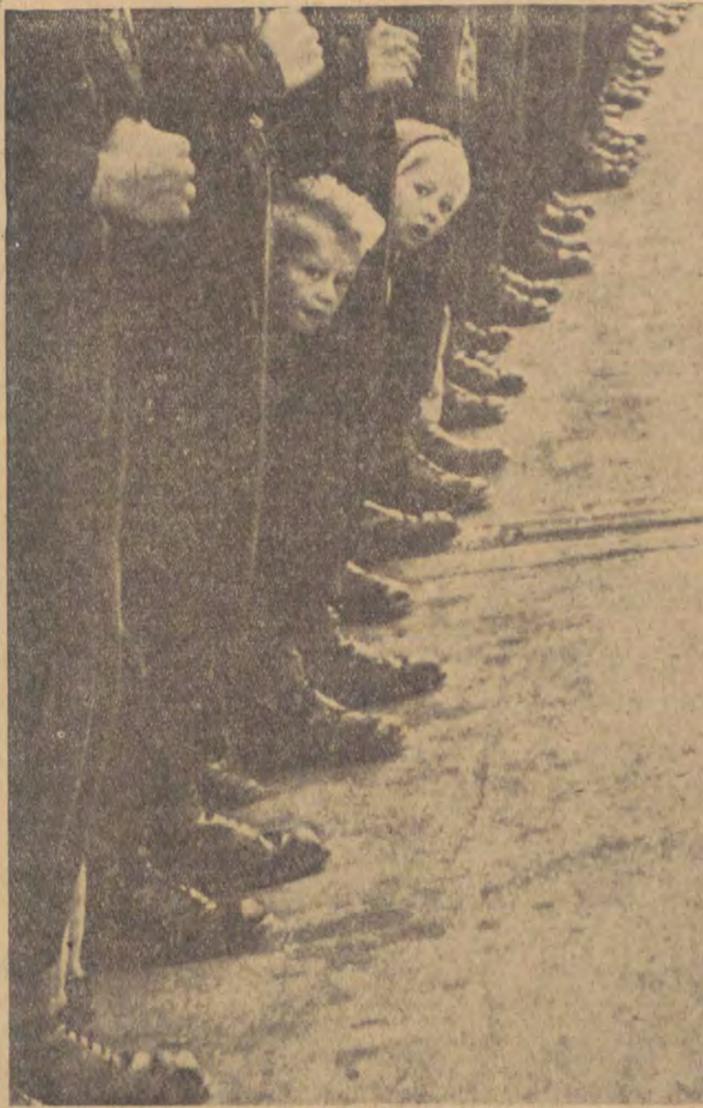
Można by więc rzec, że „casus nieznajoma”, który owo gniazdo diabelskie czyli hotel robotniczy pozostawił poza wszelkimi podejrzeniami, wprowadził sporo bałaganu w tak spokojne do tej pory i unormowane życie miasteczka. Gwiazda Wiśniewskiej natychmiast przygasała, a kto wie czy plotkarska opinia Zambrowa nie zaczęła nawet podejrzewać Bogu ducha winnej kobiety o cichy pakt z mieszkankami hotelu. Zaraz też zaczęto rekonstruować to z przeszłości, co mogło rzucić płamę na Dom Młodego Robotnika. Wznawiono więc nocne rodaków rozmowy o noworodkach porzuconych w magazynie bawełny, a wiadomo przecież, że płot tylko dzieli hotel od terenów kombinatu. Ktoś przypominał sobie nawet, że jedno z dzieci znaleziono zamknięte w szafie kierownika jednego z oddziałów. Na jakiej jednak podstawie odtworzono owe fakty zgadnąć trudno, choć potwierdzają jedno z podstawowych praw rozwoju społecznego, że szybciej formuje się baza niżli nadbudowa.

W istocie baza, czyli imponujący kombinat bawełniany wyrósł tu na oczach jeśli nie wszystkich, to w każdym razie większości dzisiejszych mieszkańców Zambrowa. Niwelowanie terenu pod zakłady zaczęło w lipcu 1953 r. Roboty szły bez zakłóceń, nawet zima, choć tego roku mróz dał się porządnie we znaki. Ale przywieziono kilka parowozów, które unieruchomione, z ogniem rozpalonym pod kotłami, ogrzewały teren jak swojskie piecyki. Toteż równo w rok od rozpoczęcia prac ruszyła pierwsza maszyna przędzalni.

Z nadbudową sprawy przedstawiali się zgoda zawiłej, a zrozumieć je może ten tylko kto był w Zambrowie. Niejeden rocznik żołdatów szlifował tam bruki jeszcze w czasach carskich, choć po prawdzie nigdy nie było w Zambrowie ani bruków, ani ulic za wiele, więc też tradycje militarne sięgają kilku pokoleń i dwu formacji społeczno-ekonomicznych wstecz, 10 zaś obyczajowych, pewno nie dąbły się zliczyć. Toteż w miasteczku opuszczonym już dawno przez żołnierzy, zwykły motek bawełny jest najpierwszym synonimem rewolucji.

Z początku jednak wzrastający kombinat i koszary istniały obok siebie, a ponieważ jedno miasto nie może się kręcić jednocześnie dookoła dwóch osi, musiało dojść do generalnej bitwy. Przemysł wytoczył najcięższe haubice w postaci argumentów o konieczności zaktywizowania gospodarczego zaniedbanych dotychczas regionów, co dało mu od razu dogodne pozycje wyjściowe do natarcia. Gdy zaś zastosował ścieżkę makiawelski podstęp wykupienia całego terenu; bawełniana wojna została wygrana. MON zarządziło odwrót, któregoś więc dnia wojsko spakowało sprzęt i odjechało przekazując kombinatu i magazyn. W tym czasie produkcja w Zambrowie szła już pełną parą, ale poważnym hamulec rozszerzenia produkcji był chroniczny brak mieszkań w mieście, które już potrobie liczone mieszkanców i wciąż jeszcze nie mogło zamknąć swych bram dla nowych przyjezdnych.

Umowa między MON a Ministerstwem Przemysłu Lekkiego stała się więc prawdziwym dobrodziejstwem dla przeludnionego Zambrowa i do koszar triumfalnie wprowadzili się cywile. Ten stan euforii trwał czas jakiś, dopóki nie spostrzeżono, że czegoś jednak brakuje w ruchomym pejzażu miasta. Nie mundurów bynajmniej, jak się wszystkim z początku zdawało, ale zwykłych spodni. Wiadomo przecież powszechnie, że przemysł włókienniczy jest domeną kobiet, co się



rażaćo sprawdziło na przykładzie kombinatu zambrowskiego, który można utożsamiać z samym Zambrowem — miastem. Rozgoryczone zambrowianki, ponoc lokatorki hotelu robotniczego, napisały więc biogalny list do Ministerstwa Obrony Narodowej z prośbą, aby zechciało łaskawie wejrzeć w ich nieludzka sytuację. Memoriał zaprawiony tzą serdeczną i podpisanymi zainteresowanych nie wzruszył jednak zatwardziały sere generałów. Odpowiedź była równie uprzejma, co stanowcza. Krzepiąca jest sympatia zambrowianek dla żołnierzy, ale niestety, wojsko do miasta już nie wróci, nawet jednostka w sile plutonu. Odwet zawiadzonych dziewcząt zaskoczył chyba wszystkich. Okazało się bowiem, że markietanek nie trzeba szukać na stronach romansów czy podręczników historii. Ni mniej, ni więcej tylko część dziewcząt rzuciła prace i podażyła za wojskiem. Był to, jak się wydaje, ostatni etap bawełnianej wojny.

Czym są dzisiaj zakłady bawełniane dla Zambrowa wyjaśniać już chyba nie trzeba. Wystarczy powiedzieć, że nawet detak prowadzi z rynku do bram kombinatu. Ścisłej do przeciwnicy o swojskiej nazwie Fabryczna, której prawa strone zajmuje parkan kombinatu. Z lewej strony rozlokowały się: hotel robotniczy i blok zakładowy jakby symbole sytuacji społecznej miasta, w którym linia frontu przebiega pomiędzy samotnymi i meżatkami, we własnych czterech ścianach i w ścianach dzielonych z innymi.

Do hotelu poprowadziło mnie ogłoszenie wywieszzone w portierni kombinatu: „Lekarz-specjalista dr Pracuta wygłosi w świetlicy DMR odczyt na temat: „Świadome macierzyństwo”. Tematyka odczytu została dobrana dość paradoksalnie, gdyż jak się to później okazało, dziewczyny z hotelu są na ogół świadome, choć nie praktykujące. Toteż sala świecila

puszkami i nie na wiele zdała się dodatkowa akcja agitująca świetlicowej meżatki. Trzymając się wytyczonego szlaku reporter zapoznał się następnie z tablicą ogłoszeń w hallu hotelowym, gdzie uderzył go niezbyt poprawnie zredagowane obwieszczenie treści następującej: „Ostrzeżenie dla mieszkanki hotelu o konieczności wymiany sznurów i kucharek elektrycznych, które grożą porażeniem. W stosunku do osób, które nie zastosują się do tego zarządzenia zostaną wyłączone konsekwencje finansowe i administracyjne”. Takie były, na pierwszy rzut oka, zewnętrzne przejawy życia hotelowego mówiące coś o kłopotach jego mieszkanki.

Trzy pietra z długimi korytarzami, dzie siatki drzwi, z których trzeba wybrać któreś, aby zapukać. Nie, nie ma żadnej pomyłki, chociaż wnętrze pokoju przypomina raczej salonek nowobogaćkich niż mieszkanie robotnicy. Czegoż tam bowiem nie ma i jakie gusty nie gryzą się tam z sobą, trudno określić w pierwszej chwili. Wszystko to świadczy nie o zarobkach w kombinacie, ale też nie świadczy że o mieszkankach pokoju. Gest, zapraszający do stołu, wykonany przez panie jednocześnie, chociaż i jakby przez każdą z osobna wyjaśnia przynajmniej źródło tego pomieszania stylów. Po prostu każda lokatorka reprezentowana jest przez inne sprzęty. Zamieszkują tu w końcu w trójkę, a nawet właściwie w czwórkę, i każda ma prawa suwerena, nie więc dziwnego, że wniosły udziały wedle własnych upodobań.

Bo właściwie żadna nie przypuszczała, że hotelowe lokum zamieni się w mieszkanie wieczyste i jedyne. A tymczasem mija akurat dziewięć lat jak zajęły tu żelazne łóżka. Przez ten czas sasiadka zza ściany już nie najgorzej odchowywała dziecko. Podobno meżatki mają większe

szanse wyrwać się „z kołchozu”, chociaż przykład tamtej zza ściany przemawia za tym, że niekoniecznie. Same już nie wiedzą, było tyle obietnic, pracując przecież niemal od początku uruchomienia zakładów. Ostatnio ich pokój się zaęścił, bo jedna z koleżanek wyszła za mąż. Muszą się rozbierać w szafie, gdyż obecność mężczyzny jest jednak krepująca. Nie, żaden mężczyzna nie figuruje w książce meldunkowej hotelu, ale tym niemniej mieszka w tym domu około 130 małżeństw.

Stan ten trwa od lat. Kierownictwo hotelu powiedziało A, zgadzając się na łączenie rodzin, ale zabrakło mu odwagi wyrzec następną literę alfabetu, aby istniejącą sytuację zalegalizować. Toteż wszystko zależy od pamięci portiera, który gapi się na hall poprzez szklaną ścianę boksu, 130 dorosłych ludzi zawieszonych w próżni, od lat nie meldowanych, którym w każdej chwili można wlepić areszt za nieprzestrzeganie przepisów administracyjnych albo w najlepszym razie w każdej chwili pokazać drzwi.

Ludzie niepewni swego dnia, ani godziny mają zwykle nadwyzczaj wyrobiony instynkt samozachowawczy. Nie posiadając żadnych praw posiadają wszystkie. Po prostu nie mają nic do stracenia. Przedstawiam Państwu jednego z tych ludzi nazwiskiem M. Właśnie ubrany w czarny, nieco za luźny sweterek, opiera się o pseudokolumnę w hallu.

Przyjechał do Zambrowa w roku 1960, więc mieszka tu nie meldowany (chwila zastanowienia) tak, już cztery lata. Od roku mieszka już zupełnie znośnie, może więc powiedzieć, że uśmiechnęło się do niego szczęście. Bo najpierw zajmowali z żoną pokójka zaludniony przez dwie panienki. Wstawił tam dla siebie łóżko, a ponieważ pokój był w zasadzie trzyosobowy, wyniósł łóżko jednej z panien. Było nieco krzyku, ale w końcu panny postanowiły spać razem. No i tak żyło im się przez całe trzy lata, dopóki jedna z panien nie znalazła sobie kogoś i nie wypędziła koleżanki. Ale jej partner był widocznie wrażliwy, bo zdecydował, że raczej wyjada, niżby mieli powierzać swoje tajemnice innym, choćby zaprzyjaźnionym ludziom. Tak więc udało się. Choć ostatnio nawet taka zdobycz przestaje cieszyć.

Zmartwienie to ma związek z cytowanym przeze mnie ogłoszeniem wywieszonym w hallu. Chociaż obecnie już tylko związek czasowy. Ogłoszenie jest nieaktualne. Po prostu w miesiącu maju usunięto bez żadnej zapowiedzi gniazdko kontaktowe we wszystkich pokojach pozabawiając mieszkanców możliwości ugotowania choćby wody na herbatę nie mówiąc już o zamknięciu aparatów radiowych i wszelkich urządzeń poruszanych przez elektryczność.

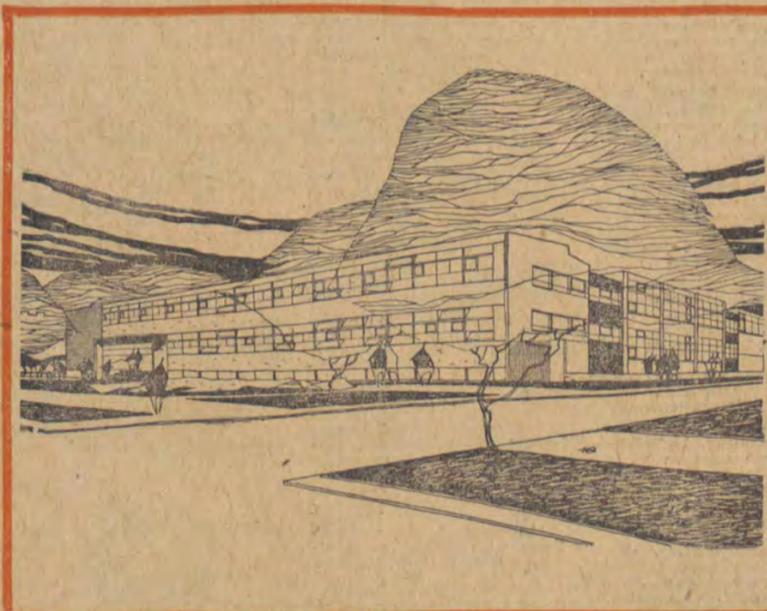
Nie jest to bynajmniej troska jednego pana M., który zdobył dla siebie z żoną pokój w hotelu wygrzając frajerów. Pan M. jest zresztą przykładem meża przyzwoitego, ponieważ nie wstydył się pracować, mimo że zarabia mniej od żony. Inni mężczyźni nie mogą podobnej sytuacji znieść ambicjonalnie i albo pedza życie na modłę ballady „Widzisz mała jak to jest”, albo też w wielkiej tajemnicy przejmują na siebie obowiązki prowadzenia gospodarstwa domowego. Ale niezależnie od tego, jaki kto reprezentuje model życia, nikt nie jest zadowolony z odcięcia przewodów elektrycznych w pokojach i chyba nikt nie odmówiłby złożenia swego podpisu na petycji, która zrozpaczone mieszkanki wysłały tym razem do Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Odpowiedź, w odróżnieniu od listu generałów, była zupełnie nie stanowcza. Pisało w niej coś. Ministerstwo o uwagach, które przekazuje do dyrekcji kombinatu. Nie wiadomo jakiej materii były te uwagi dość, że dyrekcja zobowiązała się dostarczyć do pokoiów energię elektryczną dla celów oświetleniowych. W tym miejscu chciałbym podziękować Ministerstwu i Dyrekcji za herbatę, której się nie napiłem w hotelu, gdyż zastwydzone gospodynie nie mogły się doczekać swej kolejki do maszynki elektrycznej. Na każde piętro zamieszkałe przez 100 osób przypada 8 kontaktów w specjalnie otwartej „gotowni”.

Nie wiadomo czy nowa petycja mieszkanki hotelu dotarła już do świadomości obywateli Zambrowa, jak też nie wiadomo jakiego rodzaju plotki czy raczej „dywersje” (tak nazywają plotki lokatorki hotelu) wywołała w mieście. Może domyślni obywatele wyciągną wniosek, że mieszkanki hotelu zostały ogarnięte manią samobójczą i odcięcie elektryczności podyktowane było troską o ich ciaość. Pozwólmy dowiecniostom rozpałić do białości wyobraźnię, jeśli tylko nie odbije się to na jakości produkcji kombinatu. „Dywersje” bowiem będą krążyły po mieście tak długo, aż nie ulegnie zmianie sytuacja na froncie dwu płci, co przy monstrialnie rozdetej emancypacji kobiet, nie zapowiada szybkiej równowagi. Na szczęście w samym hotelu panuje atmosfera wzajemnego zrozumienia i solidarności kobiecej. Nawet panny z dziećmi (jest ich w hotelu 4) znalazły tutaj azyl przed szyskanami i wulgarnością. Traktowane są z należnym współczuciem, jako ofiary mitych dramatów, które subiektywnie urastać mogą do wielkich tragedii. Zda się zresztą, że te skrzywdzone dziewczęta tak na ogół pojmują swoją sytuację, a w każdym bądź razie wstydydzą się swego położenia. Sprawa to być może, niekiedy nadmierna troska współmieszkanek o ich los, podyktowana zresztą jak najlepszą wola, co przypomina tym dziewczętom, że w jakiś sposób wyróżniają się od innych.

W tłumie na deptaku zresztą te różnice zacieraają się zupełnie. Widzi się bowiem kroczące obok siebie ładne, młode dziewczyny. Jestem pewien, że ponieważ większość mieszkanców miasta stanowią kobiety, słaba płeć nie ma żadnych szans w lokalnych wyborach. Nie zagłosują. Wątpię nawet czy kiedykolwiek fetują swoją ilościową przewagę.

KONRAD FREJDLICH

str. 3



## ŁÓDZKIE XX-LECIE

### SZKOŁA PRZY UL. OBYWATELSKIEJ

**MYSŁ:** Hasło „Tysiąc szkół na Tysiąclecie” rzucone przed paroma laty zaczęło od razu obrastać w realną treść. Szkoła przy ul. Obywatelskiej jest jedną z pierwszych łódzkich „Tysiąclatek”.

**DANE:** Kubatura 23 tys. m sześć. Szkoła ma 21 sal lekcyjnych plus sala gimnastyczna. Realizację rozpoczęto w kwietniu 1960 roku — zakończono w kwietniu 1962. W budynku mieści się Technikum Energetyczno-Ciepłne.

**PROJEKTANT:** inż. arch. Mirosław Rybak.

**WYKONAWCA:** ZBM nr 1.

**KOSZT:** 10 milionów złotych.

**RYS. MGR INŻ. ARCH. SŁAWOMIR ARABSKI**

Do poprzedniego odcinka „Łódzkiego XX-lecia” wkładł się przykry bład. Autorem rysunku Studium Języka Polskiego jest inż. arch. LESZEK LUKOS, Przepraszamy.

Każda nauka tworzy wiele nazw, które niejasne, czasem zupełnie niezrozumiałe dla przeciętnego śmiertelnika, kryją w sobie bardzo istotny sens dla specjalisty. Po trochu narzekamy na ten stan rzeczy. Niestety jednak nie tak łatwo znaleźć wyjście z tego stanu rzeczy! Nie zapominajmy, że nie tylko nauki teoretyczne tworzą własne słowniki. Tworzą je także i to czasem wcale cudacznie różne gałęzie wiedzy praktycznej, jak najściślej związane z życiem codziennym. Ot choćby weźmy samochodziarskie „gaźniki”, „dwutakty”, „biegi” i „zapłony”.

Nie miejmy więc za złe archeologom, że nie starają się być wyjątkiem w tej regule i że w swych książkach, sprawozdaniach i dyskusjach mówią o „warstwach kulturowych”, „lamach”, „soczewkach ziemnych” i „calcu”. Pozostawmy ich przy tej gwarze, między sobą porozumieją się tym łatwiej, a ostatecznie o to właśnie chodzi. Ale... istnieją bardzo wyraźne granice tego porozumienia. Archeolog polski bez trudu dogada się z kolegą Polakiem, natomiast w stosunkach z cudzoziemcem sprawy nie układają się już tak prosto. Potoczna, nawet dobra znajomość obcego języka nie wystarcza, trzeba poznać słownictwo fachowe. I dobrze nieraz przyjdzie się nabiedzić zanim ustalimy jaki to francuski termin odpowiada polskiej „warstwie” czy „lamie”. Przedstawiciele nauk przyrodniczych i medycznych radzą sobie nieźle. Po prostu pozostali przy tradycyjnej łacinie, średnio-wiecznym języku uczonych. Nauki historyczne nie zdobyły się dotąd na jakiegoś rozwiązanie radykalne, ale drukuje się już wielojęzyczne słowniki fachowe także i dla tych dziedzin wiedzy. W zakresie archeologii przygotowanie takiego słownika powierzono Polakom i właśnie w Łodzi trwają prace nad redakcją i wydaniem ogromnego „Glossarium Archaeologicum”, słownika obejmującego 25 języków Cenna inicjatywa. Oby jej rezultat dobrze służył sprawie międzynarodowej współpracy w pauce.

Zanim jednak „Glossarium” opuści zakłady łódzkiego oddziału PWN, archeolodzy polscy (wśród nich łódzianie!) pracujący w dalekiej Francji muszą się nagłowieć aby znaleźć wspólny język z gospodarzami. Nie łatwo nazwać jednocześnie i po polsku i po francusku te różne mury, braki i potłuczonych dachówek, ślady ognia i wykute w skale schowki — piwnice, które odkryto w Montaiqut, a które razem wzięte składają się na obraz langwedockiej wsi z wieku XIII.

Na początku byliśmy pełni jak najlepszych chęci, ale i zrozumiałych wątpliwości. To przecież tak daleko od naszych stron? Czy i nam i naszym francuskim sąsiadom starczy dobrej woli i taktu aby przelamać pierwsze lody? Zdania różniły się szybko. Na trzech, czy czwartym dniu po przyjeździe, ukończywszy zwykłą pracę, wybraliśmy się na krótki wieczorny spacer. Szliśmy wolno, pod górę, droga wijąca się pomiędzy łepkami niskich dąbków i akacji nad stokiem rozległej doliny. Za

nam rozległo się pyrkotanie „motocykletki” (tak nazywa się tu motorowery). Jej kierowca, tegi, rosły i szpakowaty zatrzymał się przy nas: „Czy wy jesteście Polacy?” „Zgadza się” — odpowiadamy. „A to ja was właśnie gonię! W Montaiqut u Lombardów powiedzieli że poszliście w tę stronę i to doskonale, bo tędy idzie się do mojej farmy, chodźcie ze mną!” Poszliśmy i taki był początek naszej dobrej znajomości z Monsieur Zenonim. Wiochem zasiedzieliśmy we Francji od 40 lat i — pierwszym producentem wina na całą okolicę. Na fermie pekała niejedna butelka (i to jakal), a razem z nimi pekły i spłynęły nie tylko pierwsze, ale i dziesiąte lody. Potem poszło raz, dwa. Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Monsieur Lombarda, właściciela Montaiqut. Gościł nas i odwiedzał Monsieur le Maire (coś pośredniego między wójtem i burmistrzem) i Monsieur le Curé (czyli „pan” proboszcz) i wielu innych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Okazało się, że nadspodziewanie dużo wie się w tych stronach o Polsce i to dzięki... Hitle-

deparłamentie, wyżynnym i mało urodzajnym Aveyronie wyludnili się ogromne obszary, zamienione w jałowe górskie pastwiska. Na przestrzeni kilometrów nie spotka się tu żywego ducha, a o istniejących niegdya osiedlach świadczą tylko rozsypane się ściany murywanych budynków.

Idealny zaiste teren do badań nad wsiami opuszczonymi! Okolice Montaiqut, zwłaszcza widziane z naszej góry robią wrażenie także dość rzadko zamieszkałych, ale to tylko wrażenie pozorne, wywołane specyficzną strukturą tutejszego osadnictwa. Brak takich wiosek jakie przeważają w Polsce: wzdłuż dróg, w kępach drzew długi rząd obejść z ogródkami, czerwony dach szkoły, zielony sztyl „Geesu”, białe ściany kościoła. Zamiast tego wszystkiego mamy tu po prostu kilka, czy kilkanaście ferm rozsianych z rzadka wśród winnic i dębowych lasów, na zboczach wzgórz, lub u wylotów dolin. Każda ferma stanowi swój własny, odrębny świat. Merostwo (czyli jakby nasza GRN) i szkoła mieszczą się w najbliższym miastecz-

Zwierzchnia archeologa

# „GLOSSARIUM ARCHAEOLOGICUM”

rowi. Adolf nigdy nie spodziewał się, że wywozoc francuskich jeńców albo deportowanych hen na wschodnie tereny „Reichu” i do Generalnej Guberni przyczyni się do wzmocnienia więzi polsko-francuskiej. Faktem jest, że wszyscy ci mimowolni turyści bardzo ciepło nasz kraj wspominają i z sentymentem wymawiają dziwaczne dla Francuza, najeżone spółgłoskami nazwy: „Strzemieszyce”, „Sosnowiec”, „Kobierzyn”. (Nie przeszkodziło to zresztą jednemu z naszych znajomych zapytać czy Polska ma dostęp do Adriatyku...) Monsieur Lombard i Monsieur Zenoni i wszyscy inni stale narzekają na pogodę, kubek w kubek jak i nasi gospodarze. Jeśli słońce — to źle, bo wypali kukurydzą i pszenicę. Jeśli deszcz — to też źle, bo trzeba będzie spryskiwać chemikaliami wszystkie winnice, aby uchronić je przed grzybkami, zmorą plantatorów. Jeśli gorąco, — to źle, bo ciężko pracować. Jeśli zimno — też źle, bo wino nie będzie miało należytego smaku i zapachu. Nie dogodził rolnikowi.

Jak i u nas, chłopkie gospodarstwa w okolicy Montaiqut często cierpią na niedostatek rak robotniczych. Młodzi uciekają do miast. Zwłaszcza Paryż ma pod tym względem niezłą opinię i mówi się, że rolnie kosztuje nie tylko wsi, ale całej prowincji. Znamy też i inne kraje, w których skądinąd miłe okolice pomawiane bywają o takie brzydkie właściwości... Ten proces wyludnienia wsi, który u nas przybrał na sile dopiero w ostatnich czasach, we Francji trwa od dobrego stulecia, żeby liczyć ostrożnie. Skutki są widoczne. Nawet w żywej Langwedocji często spotkać można fermy stojące pustką. Pustką stoją też liczne domy, nieraz zabytkowe w niektórych miasteczkach. Czasem kupują je lub wynajmują zamożniejsi paryżanie aby urządzić sobie w nich mieszkanie na lato, na spędzenie parotygodniowego urlopu. W sąsiednim

ku, a miasteczek we Francji dużo i zawsze jakieś znajdzie się pod ręką. Znaczna ilość samochodów (za to motocykli prawie się nie widzi!) zapewni swobodną łączność w obrębie takiej rozproszonej społeczności, ułatwia dojazd do urzędu, szkoły, sklepu i kościoła. Znad naszych wysoko położonych wykopów widzimy jak od wczesnego ranka wokół każdej fermy snują się drobne figurki ludzkie. Trwa praca w polu. Mężczyźni i kobiety w charakterystycznych „bleus” czyli roboczych strojach z niebieskiego płótna czy drelichu (niechaj czytelnicy — fachowcy z włókienniczej Łodzi wybaczą mi brak precyzji w terminologii, nie mam pod ręką odpowiedniego słownika), na głowach słomkowe kapelusze lub kaski przeciwsloneczne, pamiątki po ś.p. Francuskim Imperium Kolonialnym. Ale o godzinie dwunastej wszelki ruch zamiera. I to nie tylko tu, w całej Francji! Nadchodzi najważniejsza godzina dnia, godzina święta, pora DEJEUNER czyli „śniadania” odpowiadającego naszym obiadom. Stoją wówczas fabryki, biura zawieszają urzędowanie, przerywa się lekcje, zamyka muzea, samochody zaskoczone na szosie zatrzymują się ponad rowem, w cieniu pierwszego, lepszego drzewa. Francja zaczyna pić i jeść, ale jak pić i jeść! Dietetyczna i wstrzemięźliwa kuchnia Zachodu przeciwstawiana sarmackiemu obżarstwu należy do kategorii legend czystych zrodzonych pod piórem ludzi, którzy chyba nigdy na Zachodzie, a przynajmniej we Francji nie byli. Sami Francuzi mają na ten temat zdanie zupełnie wyrobione. Kto nie wierzy, niech czyta choćby „Pamiętnik Majora Thompsona”. Swoje własne (częściowo smutne) doświadczenia streszczą w jednym zdaniu: u nas objadają się ludzie przy różnych okazjach, tutaj — bez żadnej okazji, codziennie. I nasza archeologiczna ekipa objadła się zmuszona do tego przez kucharza ekspedycji (między



sobą nazywamy go z polską „Józio”). Terroryzuje nas strasznie i skrupulatnie przestrzegając francuskiej kulinarnej elegancji. Biada nieśczętnemu, który by chciał jeść sałatkę na tym samym talerzu co mięso, albo nie dał Boże sięgnął po owoce przed serami. Nawet nasze zamilowanie do herbaty budzi w Józio głębokie wątpliwości. Syn słonecznego Południa cenil wino i kawę, herbata uważa za napój odpowiedni tylko dla barbarzyńskich hiperborejów. Dobrze, że nie zna anegdoty o Leszku Białym i jego niechęci do wina! Jako radocy księcia o tak fatalnym guście straciłobyśmy w oczach Józio wszelki autorytet. Ale to są sprawy drobne, nie ważą one na ogólnej skali naszych

francuskich wrażeń. I oto gdy wykonałmy już powierzone nam zadanie, gdy przyszła pora zakończenia wykopalski, zatem pora odjazdu — odjeżdżamy z żalem. Nasi langwedoccy znajomi żegnają nas serdecznie, jak bliskich. Są tacy, którzy mówią nam „do widzenia w Polsce”, bo nabrali chęci do odwiedzenia kraju, o którym tyle od nas styszeli. A znalazł się też ktoś, kto w chwili pożegnania nie mówił nic, bo — po prostu nie mógł wydobyc głosu z gardła ściśniętego wzruszeniem. Może to jest nasz najważniejszy sukces? Może pomogliśmy w dorzuceniu nowej strony do najpotrzebniejszego ze wszystkich międzynarodowych słowników: Słownika Ludzkiej Życzliwości?

## LISTY DO REDAKCJI

### NIEMOŻNOŚĆ DWUDZIESTOLATKI

W 35 numerze „Odgłosów” ukazał się na pierwszej stronie artykuł Jadwigi Czyż pt. „Mam lat 23...”. Treścią tego artykułu są wymagania byłej pielęgniarce, obecnie studentki AM w Łodzi. (Tu autor listu streszcza omawiany artykuł).

Nie wszyscy może mieli w roku 35 numer „Odgłosów”, których Redakcja uznała pracę pt. „Mam lat 23...” za godną pierwszej strony tygodnika, i mogą nie rozumieć sądu, który po jej przeczytaniu niejedną z czytelników sobie urobił.

A przecież refleksje muszą powstać i to refleksje niewesołe. Nasuwa się przede wszystkim pytanie: czym kierowała się Redakcja „Odgłosów”, do-

puszczając do publikacji pracę Jadwigi Czyż (mimo wszystko nie mogą się obronić naretrymny myślim, że to chyba pseudonim — kto bowiem zdecydowałby się na taką autoreklamę?).

Czy dopatrzono się w perypetiach życiowych autorki jakiegoś zjawiska typowych dla środowiska młodych pielęgniarzek czy studentów? Nie ulega wątpliwości, że obraz codziennego dnia pracy przy chorym, pracy ciężkiej, trudnej, wyczerpującej, może przerastać siły fizyczne i odporność psychiczną części młodzieży, która w pewnej chwili uswiadamia sobie, że nie poddała zadaniom. Wtedy rezygnuje i odchodzi. Przecież żaden student AM czy studentka szkoły pielęgniarstwa nie siedzą w chwili rozpoczęcia nauki ślubowania na werność obranemu zawodowi i nikt tego od nich nie wymaga. Odsiew w trakcie przysposabiania do zawodu istniał zawsze i istnieć będzie. W interesie grupki zawiązanych i w interesie chorych.

Czy jednak rozczarowanie z powodu błędnego wyboru daje prawo do obrażenia błotem wszystkiego i wszystkich? Nawet tych, którym się wiele w życiu zawdzięcza? Czy upowaznia do przedstawiania życia studenckiego jako koszmaru? Czy ktoś uwierzy, że studentom nie wolno chorować, chodząc do teatru, że nauka na wyższej uczelni zabiera im aż tyle

czasu, że zmuszeni są zrezygnować z zaspokojenia elementarnych potrzeb higieny osobistej? Ze student, pragnący poddać wymaganiom, stawianym przez uczelnię, musi zarosnąć brudem?

Kogo obchodzi czyjeś „mitosne” przeżycia, przedstawione w dodatku w tak bepardonowej formie?

Jakim wreszcie prawem wprowadza się całą „akcję” w mury i Kliniki AM im. M. Curie-Skłodowskiej w Łodzi i usiłuje nadać opowiadaniu pozory autentyczności przez podawanie nazwisk?

Spotykamy się z różnymi pretensjami ze strony naszych pacjentek, czasami słusznymi, czasami nie usprawiedliwionymi. Jakże często trudności obiektywne uniemożliwiają nie jednemu szpitalowi czy klinice stworzenie chorem takich warunków, jakie pragnęlibyśmy im zapewnić.

Choć rocznicę przeżywa w Klinice około 3.000 chorych, to jednakże nikt z nas nie pamięta wypadku wysiedlenia pod adresem lekarza oskarżenia o morderstwo chorego! Wypisywanie podobnych bredni można nazwać jedynie podłością i głupotą, a dyskusję na ten temat za urwaczające godności lekarza.

Wolno każdemu pisać, co mu się podoba. Nie wiem tylko, jak nazwać drukowanie takich „sensacji”. Społecznie oddziały-

wanie prasy w naszym środowisku jest duże, prasa kształtuje przecież w pewnym stopniu opinię publiczną, jej zadaniem jest nie tylko rzetelna informacja, ale także urabianie odpowiedniego klimatu wólot zagadnień, którymi żyjemy.

Interes Służby Zdrowia wymaga stwarzania wokół jej problemów, trudności, z jakimi się boryka, atmosfery życzliwości i zaufania. Będziemy wdzięczni za każdą krytykę, nawet surową, jeśli będzie ona bazować na faktach i stawiać sobie za zadanie cele konstruktywne. Szkalowanie przynosić może tylko krzywdę i jest złą robotą.

Tej konstruktywnej współpracy mamy chyba prawo do naszej prasy oczekiwać. Nie tyle w interesie własnym, co w interesie podnoszenia autorytetu tych wszystkich placówek Służby Zdrowia, które cały swój wysiłek koncentrują na zapewnieniu każdemu choremu jak najlepszej opieki.

Jestem przekonany, że Redakcja „Odgłosów” uzna za właściwe wydrukowanie w całości mojej wypowiedzi w sprawie artykułu pt. „Mam lat 23...”, i że zajmie wobec niej stanowisko.

mi się kierowało jury konkursu nt. „Moje 20 lat”, nagradzając pracę J. Czyż.

dr med. Janusz Kleiński  
Adiunkt i Kliniki Położniczo-ginekologicznej i Chorób Kobiecych  
AM w Łodzi.

Oto jeszcze jeden przykład, iż ten sam tekst można od czytać w kraczowo różny sposób: dla jury i redakcji pamiętnik dwudziestoletniej był interesujący właśnie dla swojej szczerości. Pan Adiunkt dr Janusz Kleiński uznał go natomiast za zamach na dobre imię Służby Zdrowia.

Któż by przypuścił, że pamiętnik dwudziestoletniej znajdzie się aż pod tak ciężkim ostrzałem?

### POCZUCIE TAKTU

Ze zdumieniem dowiedziałem się z Pańskiego tygodnika, że na grodzie Woj. RN w Łodzi otrzymał „Zbigniew Nowicki” — autor iluznych powieści, których akcja odbywa się na terenie województwa łódzkiego”. Niestety, nie znam ani jednej powieści sygnowanej podobnym nazwiskiem. Myślę, że Pan Redaktor również nie zna takiej powieści, a chyba także i czytelnicy Pańskiego tygodnika. Czy o to właśnie chodziło w przekazanej przez Pana informacji?



# Moja trzecia szczoteczka do zębów



## Dalszy ciąg ze str. 1

odrywając pacjentów od rozmyślań i analizowania własnych dolegliwości, jest jednym z warunków pomyślnego przebiegu kuracji. Zabraniano też wzajemnych odwiedzin na różnych oddziałach. O godz. 22 chorzy winni być już w łóżkach.

Po dłuższej chwili nadeszła siostra i po wiedziała, że teraz zaprowadzi mnie na oddział. Bliska Osoba ruszyła wraz ze mną, lecz siostra zaprotestowała:

— A pani tam po co?

Bliska Osoba wyjaśniła, że musi porozmawiać z lekarzem, że chciałyby chwilę odpocząć, że wreszcie chce zapłacić za mój pobyt. Siostra zmiękła i wyszłyśmy.

Jadąc do Kościana wyobrażałam sobie

nałwicznie jakiś spory budynek w ogrodzie otoczonym murem. Tymczasem zobaczyłam nie ogród, lecz olbrzymi, starannie utrzymany park, ciągnący się w nieskończoność. Zaś budynków miałymy wiele zamian stanowiących przed tym właścicielami. — Pani zaczekaj w świetlicy — rzekła siostra i zostawiła nas. Była godzina osma.

Staliśmy na progu nieprzytulnego pokoju, wymalowanego na pasowo, zielono, żółto i — zdaje się — szafirowo. W jednym rogu stał rezedowy tapczan, w pozostałych — okrągłe stoliki i krzeselka, obite niebieskim welwetem. Środkiem było przejście, po którym w tej chwili przechadzały się sennie moje przyszłe towarzyszkę. Przeważnie starsze, biednie odziane, zniszczone prace.

Nasze wejście wywołało chwilowe życie.

— To pani na kurację?

— Nie, to ta druga.

— A pani skąd? — dopytuje mała, ruchliwa staruszka, która właśnie weszła do pokoju.

— Z Kielc.

— Tu jest jedna pani z Kielc! Leży na dole, na śpiączce, ale ja ją zaraz przeprowadzę. Będzie pani wesołej!

I opowiada, jak to jest na śpiączce, ja sama trzymałam tam przez dwa tygodnie, poza tym stosuję tu wodolecznictwo, „bicz” zimny i gorący... Trajkoce przedziwno, męcząco, na szczęście rozlega się dzwonek i pacjentki tłumnie spieszą ku drzwiom. Co to? Każda z nich trzyma w ręku noż! Chowam się za stolik, ale w tej chwili wchodzi salowa i każe mi zejść na śniadanie.

Rezygnując z mlecznej zupy, jest poza tym kawa i bułka z masłem, które rozsmarowuję pożyczonym nożem. Trzeba tu mieć własny noż, niepotrzebnie tak się wystraszyłam przed chwilą.

I znów jesteśmy w świetlicy. Siostra oddziałowa prosi mnie do siebie, mierzy temperaturę, bierze krew do badania. Podobno nie nie szkodzi, że po śniadaniu, Bliska Osoba niecierpliwie się, chciałyby wiedzieć, gdzie mnie ulokują, zdecydowanie badanie. Na razie jest gdzieś zajęty, czekamy, chore znów spacerują w tę i z powrotem.

— Czy czas tak spacerujecie?

— Dziś deszcz, jak jest ładnie, to wychodzimy do ogrodu.

— A co tam robicie?

— Nic.

— A do miasta wolno wychodzić? Trzy razy w tygodniu? I co tam robicie, w mieście?

— A nic...

— Nie nudno wam?

— Jak ktoś chce, to może chodzić na zajęcia, kilka z nas tam chodzi. Ja się nauczyłam robić wazoniki...

— A jest tu jakaś biblioteka?

Jest. Jest i biblioteka i telewizor w sąsiednim pawilonie, a w parku jest kawiarnia i boisko do siatkówki. Tymczasem jednak wygląda to beznadziejnie. Sennie postacie snują się bez celu po nieprzytulnej świetlicy (nie ma tu nawet radia, nie ma żadnych płyt), jedna z nich, siostra, chuda, bez przerwy pali papierosa.

— Trzeba sobie wyszukiwać zajęcia! — mówi lega pani i patrzy na mnie z przynajmniej — Ja sobie książkę przepisuję do zeszytu, to mi czas szybciej schodzi. A jak ktoś woli, to może grabić liście w parku, obierać z kuchenki kartofle...

I sadowić się przy stoliku, rozkłada grubą książkę, brulion, zaczyna pilnie gryzmolić.

— Teraz poszukam tej pani z Kielc! — pociesza mnie staruszka.

Siostra oddziałowa prosi mnie do zwania.

— Pani mamusia to bardziej się nadaje do Kościana niż pani — powiada. Taka niecierpliwą... Niech jej pani powie, żeby już sobie pojechała do domu!

O dziesiątej wpada lekarz. Jest zmęczony, zmoknięty, opryskliwy. Na nieśmiało wzmiankę o Bliskiej Osobie odparowuje, że nie ma czasu i w ogóle nie ma obowiązku z nikim na mój temat rozmawiać. Dobrze nasza, jestem tu na „wariackich papierach” i mogę sobie użyć. Przez chwilę trwa ciepła wymiana zdań, potem do-

chodzimy do porozumienia, znów padają pytania na temat dzieciństwa, znów miotek idzie w ruch. Trwa to ze trzy kwadransy.

Bliska Osoba zostaje wreszcie wezwana do gabinetu i dowiaduje się, że nie jest ze mną tak źle, jak przypuszczała. Po kilku tygodniach przyjdę do siebie.

— Na razie zatrzymamy ją tutaj — mówi lekarz. — Zawsze zaczynamy od obserwacji. Potem ją pewnie przeniesiemy gdzie indziej.

— Do Wonięści? — domyśla się Bliska Osoba.

Wonięść to filia sanatorium, podobno są tam lepsze warunki, ładniejsze otoczenie.

— Kierujemy tam łóżek chorych — wyjaśnia lekarz. — Tam jest absolutny spokój. Piękny dom, ogród, jezioro... Chore nie stykają się wcale z lekarzem, nie mają zabiegów, jedynie przyjmują przepisane leki.

— A co tam robią po całych dniach? — chce wiedzieć Bliska Osoba. — Też tak leżą?

— Niestety, terapia zajęciowa u nas kuleje. Brak odpowiednich pomieszczeń... Chore na własną rękę wynajdują sobie zajęcia: pomagają w kuchni, w szwalni, pracują w ogrodzie... Przepraszam, spieszę się do izby przyjęć...

Jest godzina dwunasta. Łóżka dotychczas mi nie przydzielono. Spać mi się chce nieludzko, chore spacerują w tę i z powrotem, w sypialni podobno nie wolno się położyć poza wyznaczonymi na ten cel godzinami. Trzeba więc tkwić od szóstej rano w tej świetlicy o bajejście kolorowych ścianach, które w tej chwili wkurwiają mi w oczach. Czy ten „pikas” na pewno dobrze wpływa na nerwowo chorych?

Bliska Osoba gdzieś mi się zapodziała, rozglądam się za nią — jest! Spaceruje w tę i z powrotem w gromadzie chorych, wygląda w tej chwili jak jedna z nich. Wstaje i przyłącza się do tego spaceru.

Przed pierwszą schodzą na obiad, zaraz potem przydziela mi miejsce w sypialni, zaś Bliska Osoba wyrusza wreszcie na miasto po noż i szczoteczka do zębów.

Sypialnia jest bardzo schludna, widna, niestety będę musiała ją dzielić aż z ośmioma towarzyszkami. Z reguły chore są na początek umieszczane w wieloosobowych sypialniach, dopiero później przenieszone są (o ile jest miejsce) do pokojów dwu- i trzyosobowych. Każda z nas ma własną półkę w szafie, miejsca na suknie też jest pod dostatkiem. Poza tą szafą, w której wolno mi ulokować fragment mojej prywatnej osobowości, wszystko jest jak w szpitalu: łóżko — szafka — łóżko — szafka — łóżko... (Może w tych dwuosobowych pokojach jest inaczej, bardziej „domowo”) Nocnych lampek nie ma, o wygodnym czytaniu szkoda marzyć. Pozostaje światła, w której też jest tylko jedna lampa pod sufitem. Strach pomyśleć, jak tu upływa czas w długie jesienne wieczory. Przypomina mi się świetlica dla podróżnych na dworcu w Poznaniu, gdzie przesiedziałam trzy godziny i miałam dosyć. Tu mam pozostać około sześciu tygodni, Ogarnia mnie popłoch.

Bliska Osoba wraca ze sprawunkami. Ocieka wodą, można by ją wykreć przez wyżymaczkę. Teraz musimy się pożegnać, bo jest pora poobiedniej ciszy i z pewnością zaraz zagonią mnie do łóżka. Ale nie: klientki poszły do sypialni, nikogo to nie interesuje, że większość kobiet nadal przebywa w świetlicy, plotkują przy tym na cały głos, a jedna — śpiewa. Zaledwie parę poszło do łóżek i wąpić, czy mogą zasnąć, gdy tuż za drzwiami taki harmider.

A więc tak to jest z regulaminem? Zaniepokojone znów zaczynamy rozmawiać z pacjentkami.

— A tak! — potwierdzają — tu wcale nie jest tak ostro! Wcale nie pilnują! Będzie się tu pani dobrze czuła!

— Czy lekarz często bada? — A jakże! Dwa razy w tygodniu jest obchód lekarski. Wywiad? Nie, wywiad przeprowadzany jest tylko raz, na samym początku kuracji. Są zabiegi, jak ktoś potrzebuje, lekarstwa, wszystkie drogi, zagrane leki dostaje się tutaj za darmo. To tylko z początku człowiek taki nieswojy, a potem już dobrze. Nie tu nie trzeba robić, odpoczywa się cały czas...

— Ja tu jestem miesiąc i przybyło mi

pięć kilo! — chwali się staruszka. — Pani też tu będzie zadowolona. Ja tu zaraz przy prowadzę tę panią z Kielc.

O drugiej zaczynamy się naprawdę żegnać. Marudzimy przy tym wciąż przypominają się nam jakieś drobności, o których trzeba koniecznie pamiętać; wszystko to pozór, obie myśliśmy o tym samym, tylko żadna nie ma odwagi zacząć pierwsza.

Bliska Osoba już stoi w drzwiach, odwraca się, jeszcze raz obejmuje wrokiem ponury pokój i somnambuliczne postacie, pośród których mam pozostać przez długie tygodnie.

I nagle energicznie zwraca:

— Nie zostaniesz tutaj! Pakuj rzeczy!

Senność odbiega mnie momentalnie, wszystko leci mi z rąk. Szybciej! Pociąg do Poznania odchodzi za godzinę! Lekarz jest oburzony, mniejsza o to, nigdy w życiu go już nie zobaczę. Podpisuję jakiegoś oświadczenie, chore odprowadzają nas z wionymi spojrzniętymi, staruszką nie ma, gdzieś pobiegła, pewnie po panią z Kielc. W ostatniej chwili odbieramy pieniądze z kasy.

Na ulicy rzucam się Bliskiej Osobie na szyję.

— Mamo! — wołam. — To jakieś nieporozumienie! Przecież ja jestem zdrowa!

Przez kilka następnych dni żyłam pod wrażeniem mojej nieudanej kuracji i psio czyłam na sanatorium w Kościaniu. Potem ochłonęłam i spróbowałam przemyśleć wszystko jeszcze raz, bez uprzedzeń.

Dobrze się stało, że zobaczyłam z bliska ten zakład. Widziałam mały jego fragment i spędziłam tam zaledwie pół dnia. To, co mnie stamąd wypłoszyło, nie może stanowić podstaw do wyrobienia sobie opinii o całokształcie pracy i atmosfery sanatorium; wszystkie pacjentki, z którymi rozmawiałam, były zadowolone z tamtejszych warunków, nie przerażała ich pusta świetlica, nie narzekały na nudę. Wszystkiemu twierdziły zgodnie, że kuracja im pomaga, że czują się znacznie zdrowsze niż w chwili przybycia.

Niewątpliwym mankamentem jest zła organizacja terapii zajęciowej i nie wydaje mi się, aby istotnie brak pomieszczeń odgrywał tu jakąś rolę. Trudno sobie wyobrazić, aby z tak olbrzymiego kompleksu gmachów nie dało się wygospodarować pomieszczeń na ten cel. Może raczej brak jest odpowiedniego personelu, a w każdym razie dużo jest tu niedbalstwa. Jeśli nawet nie można zorganizować specjalnej terapii, to niechże przynajmniej te zajęcia, które pacjentki wyszukują sobie na własną rękę, będą obowiązkowe! Niech będą w tym celu wyznaczone pewne godziny kontrola, nadzór. To samo dotyczy w ogóle całego regulaminu. Wiem z własnego doświadczenia, jak destrukcyjnie wpływa na samopoczucie brak stałych, obowiązkowych zajęć, których surrogatem powinien być właśnie, przestrzegany ściśle, regulamin sanatoryjny. Tak samo nie wydaje mi się, aby całkowity brak kontaktu z lekarzem, jak to ma miejsce w Wonięści, wpłynął korzystnie na chorych.

Widocznie jednak nie są to mankamenty o zasadniczym znaczeniu, skoro pacjentki chwaliły sobie pobyt w sanatorium i wychodzą stamtąd ze znaczną poprawą. Palet, że uciekam z Kościana po kilku godzinach, ma wytłumaczenie zupełnie proste: jest to zakład „tosowany” dla ludzi wyczerpanych ciężką pracą, trudnymi warunkami codziennego życia, konfliktami z otoczeniem, prowadzonymi do różnego rodzaju nerwic i zaburzeń psychicznych. Moje zetknięcie z tym środowiskiem stanowiło dla mnie silny wstrząs i zarazem pomogło uświadomić sobie, że nie mam z tym światem nic wspólnego, że jestem zdrowa, a moja depresja była jedynie wynikiem długotrwałej beczynności i nieumownego trybu życia; niepotrzebnie zajmowałabym w sanatorium miejsce, które zapewne odziedziczył po mnie ktoś, naprawdę potrzebujący pomocy.

Tak więc i w stosunku do mnie Kościan spełnił swoje zadanie. Po powrocie do domu odzyskałam apetyt, wyrzuciłam talizmany i zaczęłam szukać pracy.

A mojej trzeciej szczoteczki do zębów nie wyrzucił, nawet kiedy się zniszczy. Zachowam ją. Jako talizma.

ANNA MAREWICZ

## NIESCISŁOŚCI W DISKUSJI

Uprzejmie proszę o łaskawe sprostowanie pewnych nieścisłości, które — zapewne z winy korekty — zakradły się do Nr 40 (344) Pańskiego Cennego Pisma. Odezwę się w artykule zatytułowanym „Sprawy łódzkie teatrów” umieszczony był w wy-powiedzi doc. dr. Bolesława Lewickiego następujący passus: „...a Teatr 7.15 ciągle nie wie czym ma być”. Na szczęście doc. dr. Lewicki poinformował mnie osobicie, że od roku — to znaczy od czasu objęcia przeze mnie dyrekturę Teatru 7.15 nie był w teatrze ani razu. Jest więc jasnym, że passus powyższy został umieszczony pomyłkowo.

Kilka wierszy dalej w wypowiedzi dr. St. Kaszyńskiego wyodrębniono: „Mara upadku ambicji repertuarowych może być m. in. zapowiedź wystawienia przez Teatr 7.15 „Damy od Mak-syma”. Dla każdego, kto zna odrobinę historię teatru, szuka ta jest synonimem pożądanego „cha-ty”. Oczywiście i tu zaszczyt pomyłki, chyba z winy Redakcji, gdyż tak wybitny znawca historii teatru jak dr. St. Kaszyński wie oczywiście, że szuka Fey-deau znajdując się od lat kilkadziesiąt w repertuarze Kome-dii Francuskiej, teatru — jeśli nie najpięknego, to z pewnością najszlachetniejszego z teatrów Francji.

Nie mogę się oprzeć chęci, aby przy okazji tego listu nie podkreślić jeszcze raz, że ce-

lem naszego teatru — zgodnie z intencją czynników, które mnie na dyrektora i kierownika artystycznego Teatru 7.15 designowały — jest danie Łodzi sceny o repertuarze wesołym, bezroskim, a jednak nie pozbawionym ambicji artystycznych. Staramy się to zadanie wykonać rzetelnie. W sezonie minionym pokazaliśmy „Lekara mimo woli” Moliere’a, program satyryczny „Odjazd 6.53”, prapremiere sztuk młodzieżowej Mirosława Lebkowskiego: „Gosć z Kosmosu” i „Porwanie Sabine” Juliana Tuwima. Wszystkie te pozycje uzyskały bez wyjątku bardzo pochlebne recenzje.

Na nowy sezon planujemy: „Panią Prezesową” klasyczną farsę francuską w nowej adaptacji Jerzego Jurandota, adaptacja „Szwajka” Jarosława Ha-szka, „Rewolwer” Aleksandra Fredry. Mamy więc ambicje poważne, nie zapominając przy tym o obowiązującym nas pro-filu rozrywkowym.

Zalążkami wyrazi szacun-ku, proszę aby Szanowny Pan Redaktor nadal obdarzył Teatr 7.15 i moją osobę, swą tak cenną dla nas życzliwością.

JERZY WALDEN

\* \* \*

Nasi dyskutanci wypowiedzi-ają własne sądy i za nie są-mi odpowiedzialni; jakże więc możemy sprostować fragmenty ich wypowiedzi.

## KOMPLEKS PROWINCJI

„W ostatnim numerze zaapełowałeś do czytelników o wy-rażenie opinii o Waszym pi-smie.

„Nie do zniesienia jest upar-cie, ekshibicjonistyczne demon-strowanie kompleksu prowincji.” „Odgłosy” trzymają się tematy ki „Łódzko-wojewódzkiej”. Każdy problem najbardziej krajo-wy, albo i najbardziej ogólnoludki — staje się w „Odgło-sach” łódzkim problemem. Usta-wicznie przeróżni panowie wy-brzydają się na inne miasta, na stolice, na upośledzenie Ło-dzi, na „porywanie” nam ludzi utalentowanych itp. „Dasają się” ciagle, że Łódź jest traktowana po macoszemu, że nie odwiedza ją jej stoleczne teatry, prze-chadzały się jak to nasza mia-sto coraz bardziej dogadane in-sze „lepsze” ośrodki. Na litosc boska! Przecież w ten sposób sami wywarzamy sytuację, w której wszyscy muszą nas trak-tować jak prowincję! Sami obrzydźmy nasze miasto bardziej utalentowanym ludzom, podtykamy „swoją garb” narzę-dnie wszystkim na oczy!... Przekazując tych kilka uwag — serdecznie życze Redakcji „Odgłosów” dalszego rozwoju — do statystycznego nakładu w 1965 roku!

WALDEMAR BIEŻANOWSKI  
Łódź, ul. Uniwersytecka 24-77

\* \* \*

Patriotyzm regionalny często graniczy o między z kompleksem prowincji. „Odgłosom” było w przeszłości dane nie

raz chadzać na spacerki własnie tą miedzą. W przy-szłości wybieramy się na dal-sze wycieczki.

## LIST OD „MODY POLSKIEJ”

Z niemiłym zdziwieniem prze-czytałismy w nr 26 czasopisma „Odgłosy” z dn. 28. VI 61 aka-pity artykułu pt. „Moskwa 1965”, dotyczące naszego Przed-siebiorstwa. W związku z po-wyższym pozwalamy sobie wy-jasnić:

1. Przedsiębiorstwo nasze nie jest warszawskim Domem „Mo-da Polska”, jak imputuje autor ka artykułu. Jego pełna nazwa brzmi: Państwowe Przedsiębior-stwo „Moda Polska”, a zasię-giem swym obejmuje cały kraj. Podlega bezpośrednio Resor-towi Handlu Wewnętrznego.

2. Sformułowanie użyte w ar-tykule: „elitarna, maitenska „Mo-da Polska” jest nieporozumie-niem, zważywszy, że obroty na-szego Przedsiębiorstwa sięgają pół miliarda złotych, a oprócz 3 domów mody prowadzimy również 20 sklepów patronackich w miastach wojewódzkich.

3. Cytujemy z artykułu: „Za czym ma wiec a-itolować war-szawska firma wielkich kontra-hentów handlowych z Kraju Rad?”

Stawiając takie pytanie autor ka wykażała absolutną niezna-jomość założeń „Mody Pol-skiej” oraz zadań, jakie speł-niają jej ekipy w czasie podró-ży zagranicznych. Wyjaślamy więc w nadziei, że w przysz-łości autorzy artykułów, zamie-

szczanych w Pańskim czasopi-smie będą zapoznawali się z pod-stawowymi materiałami przed-lich napisaniem.

Status „Mody Polskiej” mó-wi, że jej zadaniem jest lanso-wanie nowych kierunków mo-dy w kraju. Przedsiębiorstwo nasze reprezentuje też modę za-graniczną. Z zadania tego wywią-zuje się zadowalająco, o czym świadczy wysoka lokata „Mody Polskiej” wśród przodujących na świecie domów mody.

Do ZSRR ekipa naszego Przedsiębiorstwa udała się na osobiste zaproszenie Przewodni-czącego Państwowego Komitetu Handlu Państw. Ministerstwa ZSRR, tow. Strujewa.

Po powrocie ekipy do kraju minister złożył specjalne podję-kowanie na ręce Ministra Han-dlu Wewnętrznego, dr Mileczy-sława Lesza, w liście, w któ-rym czytamy: „Z przyjemnością zawiadamia-my, że pokazy mody polskiej w Moskwie, Kijowie, Odesie i Jaltie w czerwcu br. odniosły wielkie sukcesy i wzbudziły ogromne zainteresowanie miesz-kańców tych miast. Duża różno-rodność interesujących, pięknie uszytych modeli, a także wy-soka technika i kultura, zapre-zentowana przez modelki bar-dzo podobała się publiczności i specjalistom branży odzieżowej. Wyrażam duże uznanie za prze-prowadzenie w naszym kraju pokazów polskiej odzieży”.

Od siebie dodamy jeszcze, że w ciągu 2 tygodni pobytu eki-pa nasza zorganizowała aż 16 pokazów, które obejrzało ponad 15.000 osób. Nawiązaliśmy też

liczne kontakty z fachowcami wymieniając z nimi doświad-czenia.

Podając powyższe do wladomosci informujemy jeszcze, że „Moda Polska” nie podejmuje się „koszownego” — jak pisze autorka artykułu — pośrednic-twa w stosunku do przemysłu, ale spełnia przypisaną jej funkcję lansowania mody. Swo-je wyroby sprzedaje natomiast za pośrednictwem central han-dlu zagranicznego. Do Związku Radzieckiego „Moda Polska” wyeksportuje np. w br. za po-srednictwem „Comexim” towa-ry wartości ca 40 mln. zł.

Prosimy o podanie powyższe-go do wiadomości czytelników Waszego czasopisma. Jednocześnie pozwalamy sobie wyrazić nadzieję, że w przysz-łości Redakcja „Odgłosów” oka-że nam jeszcze swoje życiowe za-interesowanie.

Dyrektor  
(→) ST. TUSIŃSKI

Pisze PAŃSTWOWA OPERET-  
KA W ŁODZI:

Nawiązując do notatki zamie-szczonej w numerze Waszego pisma z dn. 9 bm. w odcinku pt. „XX-lecie PRL” prosimy o łaskawe zamieszczenie następu-jącego sprostowania, za co z góry uprzejmie dziękujemy.

„Budowa gmachu Teatru Mu-zycznego w Łodzi, przy ul. Pół-nojnej 47-51 została sfinansowa-na ze środków Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy”.

Dyrektor  
(→) ANTONI BACHLIŃSKI



Owe ostatnie wiosny na uniwersytecie ogarnął Myrę dziwny niepokój, którego nie mogła zrozumieć. Nie był to li tylko niepokój płynący z nadmiaru miedzianej energii, było w nim coś neurotycznego. W niczym nie znajdowała zadowolenia, wszystko wydawało się jej niedokończony, niekompletne. Nawet gdy wracała późną nocą z balu, gdzie przez cały wieczór bez przerwy tańczyła, nie była jeszcze gotowa rzucić się z wyczerpania na łóżko — czuła, że czegoś jeszcze brak, aby nadać tej nocy całkowitą pełni. Czasami miała niemal paniczne uczucie, że coś zgubiła, albo że zapomniała coś bardzo ważnego. Stawała wówczas ze zmarszczonym czołem próbując przypomnieć sobie co to takiego wykluczyło się jej z ręki, albo zostało zapomniane gdzieś za tylnym siedzeniem kabrioletu, należącego do kolegi Kirka, czy też między jednym a drugim tańcem zostawione zostało na sofie w mrocznym oświetlonym hallu domu akademickiego.

— Co się stało? — pytał wtedy Kirk albo ktoś inny, a ona parskała nie-naturalnie głośnym śmiechem.

— Nic, zdawało mi się, że coś zapominałam!

Uczucie to nie ustępowało nawet wtedy, gdy sprawdzała, że nie jej nie zginęło. Nadal miała wrażenie, że czegoś brak. Po powrocie do żeńskiej bursy chodziła od pokoju do pokoju wymieniając anegdoty z balu i śmiała się z nich bardziej niż były tego warte. A gdy wszystkie studentki poszły wreszcie spać, ona jedna nie kładła się i czasami gorzko płakała, nie wiedząc dlaczego, i przysiskała poduszkę do ust, żeby nikt nie usłyszał — albo też siadła w piżamie na parapiecie okiennym i spoglądała na niewielkie miasteczko uniwersyteckie z jego wszystkimi domami i drzewami, i na otwarte pola mieniące się popielatym błękitem wiosennej nocy, na kopule budynku administracji wyglądającej niczym wierzchołek górski bielejący w oddali śniegiem, i na gwiazdy dziwnie duże i bliższe — czuła, że dawała jej uczucie, którego istoty ani znaczenia nie mogła pojąć.

Owe wiosny wzięła od Kirka Abbotta oznakę jego korporacji<sup>\*)</sup>, co jednak wcale nie zmieniło jej trybu życia, nadal bowiem umawiała się na randki z innymi studentami. Umawiała się, niekiedy ją prosił, a kiedy Kirk protestował, nie próbowała nawet wytłumaczyć mu przyczyn swego postępowania, po prostu całowała go tak długo, aż przestawał mówić i gotów był wybaczyć jej niemal wszystko, co tylko mogło szkodzić jej do głowy.

Od wczesnych lat młodości, a może już od dzieciństwa, Myra pisywała wiersze, lecz tej wiosny zaczęła pisać regularnie. Niektóre niewytłumaczalne uczucie wzbierało w niej tak, że udręka stawała się niemożliwa do zniesienia, spisywanie pewnych rzeczy na papierze sprawowało jej nieco ulgi. Pojedyncze wersety, a czasami całe strofy jawiły się jej nagle w skończonej formie, niczym przetrzo-

cza rzucone na ekran magicznej larni.

„Słowa są siecią do chwytania piękna!”

Napisała to na ostatniej stronie zeszytu pod koniec wykładu o prerogatywach finansowych Kongresu. Był późny kwiecień, kiedy to napisała — i od tej pory wydawało jej się, że zrozumiała czego pragnie i udręka niepokoju stała się mniej dotkliwa.

W klubie poetyckim, do którego Myra należała, był chłopiec nazwiskiem Homer Stallcup, zakochał się w niej od roku albo i dłużej. Wiedziała o tym ze sposobu, w jaki na nią patrzył podczas sebrań klubu — jedynie okazji jej spotkań. Homer nigdy nie patrzył wprost na nią, wzrok jego szybko omiatał jej twarz, ale coś w jego wyrazie, nawet jego pełną napięcia postawą, gdy siedział obejmując dłońmi kolana, mówiło, że

## TENNESSEE WILLIAMS

# Łąka niebieskich dzieci

świadom jest jej obecności. Unikał siadania przy niej, a nawet wprost niej — krzesła ustawiano zaszczyt w krąg — i z tego powodu przypuszczano, że musi jej nie lubić, ale stopniowo zrozumiła, iż jego nieśmiałość wobec niej jest wyrazem zgola odmiennych uczuć.

Homer nie należał do korporacji. W zamian za pokój i utrzymanie usi-giwał do stołu w studenckiej stołówce, palił w kotłowni i sprzątał. Nikt z otoczenia Myry nie znał go ani nie zwracał na niego uwagi. Był dość niski, barczysty i miał ciemną cerę. Myra uważała, że jest przystojny, ale nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Miał przenikliwe czarne oczy, prosty nos o ruchliwych nozdrzach i pełne wargi, które czasem drgały nerwowo w kącikach. Wszystkie jego ruchy cechował nadmiar energii. Kiedy wstawał z krzesła, omal go nie przewraczał. Kiedy zapalał papierosa, jego twarz wykrzywiła się w grymas straszliwej grozy, a zapalona zapalną odrzucał niby płonąca petardę.

Dużo czasu spędzał w towarzystwie dziewczyny o podobnym do jego typie intelektu, dziewczyny nazwiskiem Hertha coś tam, powszechnie znanej wśród studentów z powodu dziwnego zachowania. Na wykładach porwał ją entuzjazm wobec jakiegoś zagadnienia, przeważnie literackiego lub politycznego, i wówczas zaczynała mówić tak szybko, że nikt nie rozumiał o co jej chodzi, a ona plula i łapała dech i gęstykulowała niezdarne — jakby chciała schwytać w powietrzu

jakis niewidzialny przedmiot — aż wreszcie się ogarniał grzmot wesołości i wykladowca musiał odwracać głowę do tablicy, żeby ukryć własny śmiech.

Hertha i Homer stanowili dziwną parę: ona — prawie o głowę wyższą — często wyprzedzała go o krok albo i więcej i trzymała go za rękaw jakby w obawie, że jej ucieknie, i co chwile jedno z nich lub oboje wybuchali głośnym, niepomahowanym śmiechem, który stychał było na następnej ulicy.

Homer pisał trudne, lecz nierówne wiersze. Niektóre przypominały Harta Crane'a, inne zaś były prawie tak naiwnie lopotologiczne jak poezja Sary Teasdale. Ale miewał wiersze i frazy bardzo dobre, które zwracały uwagę bogactwem wyobraźni i oryginalnością obrazowania. Kiedy je recytował, Hertha zrywała się z krzesła jakby podrażona ładunkiem elek-

tryczności, jej krótkowzroczność, mrugające oczy uważnie mierzyły krąg wzniośle uśmiechniętych twarzy, i najpierw domagała się, a wreszcie błagała, żeby przysłuchali się do niebotycznych pochwał, jakie miewa wilgotnymi wargami. Kiedy wreszcie kończyła, jedynie Myra miała coś do powiedzenia. Imi byli zbyt zakopotani albo obawieni, albo zbyt nieprzychylni nastawieni. A oblana ciemnym rumieńcem twarz Homera pochylała się i zostawała już w tej pozycji przez resztę zebrania. Jego palce zaginały rogi gładkich kartek, jakby wiersze z nich już starto, albo jakby nigdy nie były na nich spisane, tak, jakby kartki te były po prostu nie zapisanymi artystycznymi, danymi jego palcom do zabawy.

Myra zawsze chciała powiedzieć coś więcej, lecz jej słownictwo z zakresu krytyki literackiej było ubogie.

— Uważam, że to bardzo mi się to podobało. — A Homer nie podnosił głosu, tylko twarz ciemniała mu jeszcze bardziej i widać było, że Myra chciała gryźć się w język z żalu i wstydu, że nie była uprzejmiejsza. Chciałaby położyć ręce na jego palcach, żeby przestały mieć papier, żeby je uci- szyć.

Dopiero na początku czerwca, po ostatnim zebraniu tego roku Myra zdobyła się na odwagę i podszła do niego. Ujrzała go, jak stał na końcu korytarza i pił wodę z kranu. Podbiegła do niego spiesznie i jednym tchem powiedziała, że wiersze jego są najlepsze ze wszystkich wiers-

zy; jakie kiedykolwiek słyszała i że powinien je posłać do kogoś z poważnych czasopism literackich i że reszta członków klubu uważa za skończonych idiotów, bo nie rozumieją jego poezji.

Homer stał trzymając zaciśnięte pięści w kieszeniach. Przez cały czas ani razu nie spojrzął jej w oczy, dopiero gdy skończyła mówić, buchnęło z niego całe podniecenie. Wyszarpnął z teki plik manuskryptów i wpechnął je do rąk.

— Proszę, niech pani przeczyta — rzekł — i powie mi co pani o tym myśli.

Po schodach schodzili razem. Na ostatnim stopniu potknął się czy też pośliznął, tak że musiała podtrzymać go za rękę, żeby nie upadł. Była wzruszona i zarazem ubawiona tą niezręcznością i widocznym zadowoleniem, jakie mu sprawiała to, że idzie u jej boku. Kiedy wyszli z obłożonego białym kamieniem budynku, zółte jak cytryna słońce późnego popołudnia obmyło ich twarze łagodnym światłem. Powietrze wypełniało rzewne grzanie gołębi i daleki dźwięk dzwonów oznajmujących zakończenie pracy. W pewnej chwili białe piórko jednego z trzepotliwych ptaków spłynęło w dół i opadło na włosach Myry. Homer zdjął je i zakłknął za wstążkę kapelusza. W drodze do domu Myra przez cały czas czuła owo szybkie, delikatne dotknięcie jego palców. Zastanawiała się, czy Homer zachowa gołębie piórko, czy będzie je holował jak skarb diatego, że ją dotknęło.

Tego wieczoru, kiedy żeńska bursa pograżyła się w ciemność, Myra wzięła plik manuskryptów i zaczęła je czytać — do ostatniego wiersza. W miarę lektury czuła wzrastającą emocję. Niewiele rozumiała z tego co czytała, ale był w tym jakiś kulminacyjny efekt, ciągle narastanie intensywności. Gdy skończyła, drżała na całym ciele tak, jak się drży wychodząc z ciepłej wody na zimne powietrze.

Ubrała się i zeszła na dół. Nie zdawała sobie sprawy ze swoich zamiarów, jej ruchami nie kierowała świadomość, a jednak nigdy jeszcze nie poruszała się z taką pewnością.

Otworzyła wyjściowe drzwi bursy, przebiegła wyłożoną cegłą trotuar, skroczyła na lewo i szybkim krokiem przemierzyła zające kścieżycowym światłem uliczkę, aż dotarła do kwatery Homera. Stanoła w zdziwieniu, że się tutaj znalazła. W wysokich dębach koncertowały cykadły — nie słyszała ich aż do tej pory. A gdy spojrzała w górę, dostrzegła zwartą konstelację gwiazd nad północnym szczytem domu. Piejący — pomyślała. Tuż się do siebie jak dziełce wędrujące ciemnym borem. Wstuchiwała się przez chwilę, ale żaden odgłos nie dochodził, nie oprócz grania cykad i ledwie, ledwie dosłyszalnego szelestu jej białej spódnicy.

Szybko obeszła dom i zbliżyła się do drzwi, w których co rano widywała wyhodzonego Homera. Zastukała dwoma krótkimi, wyraźnymi uderzeniami i natychmiast przywarła do ściany, oddychając szybko. Przeczekała chwilę i znowu zapukała. Przez szybę zobaczyła schody prowadzące w dół do suterenu, gdzie drzwi oświetlonego pokoju stały otworem. Najpierw ujrzała nigotanie cienia, a potem samego chłopca, jak szybko otwierał swoje ciało w ciemną brzozywość kapeluszowy i idąc w górę po schodach z marsem na czole spoglądał ku wejściowemu drzwiom. Gdy je otworzył, Myra wyszeptała jego imię. Zdawała się, że przez całą minutę nie wymówił ani słowa, wreszcie chwycił ją za ramię i wciągnął do wnętrza.

— Myra, to pani! — powiedziała z uśmiechem. — Nie wiem, co mnie napadło. Czytałam pana poezję i mu-

stałam natychmiast przybiec i powiedzieć pani...

Zabrakło jej tchu. Oparła się o zamknięte drzwi i tym razem nie jego, lecz jej oczy szukały ucieczki przed wzrokiem rozmówcy. Patrzyła w dół na rąbek jego brzydkiego płaszcza kapeluszowego, spod którego widać było białe, duże, kościste, białe stopy — i widok ten przestraszył ją. Przypomniała sobie, jak jego oczy żarliwie chodzą tak przelotnie omiatały jej twarz i postać, i jak drżał tego popołudnia, kiedy podszła do niego w korytarzu, i jak te wielkie stopy potknęły się na ostatnim stopniu, aż musiała go podtrzymać, żeby nie upadł.

— Jedno zwłaszcza — podjęła z trudem — było tam coś o łące niebieskich kwiatów...

— A tak — wyszeptał — pani ma na myśli łąkę niebieskich dzieci!

— Tak, tak, właśnie! — powiedziała i spojrzała na niego wymownie.

— Myra, niech pani wejdzie do mego pokoju.

— Nie mogę!

— Nie może pani?

— No pewno, że nie. Gdyby ktoś mnie przylapał...

— Nie zobaczaj!

— Wydałiliby mnie!

Nastąpiła chwila ciszy.

— Niech pani poczeka!

Zbiegł trzy schodki i odwrócił się. — Jedną minutę, Myra.

Poczuła skłnienie własnej głowy. Słyszała, jak przebiegł reaktę schodów i wszedł do pokoju w suterenu, gdzie mieszkał. Widziała przez drzwi chwył jego cienia na podłodze, po ścianach. Ubrał się w pewnej chwili przeszedł do tej części po-

koju, którą widać było przez wychylone drzwi, i stanął w polu widzenia z górnym torsem, a ona zdała się i ogarnęła ją dziwna wzruszenie na widok jego potężnej klatki piersiowej i ramion, podkreslonych światłocieniem rzuconym przez lampę. W tym momencie nabrął dla niej fizycznej rzeczywistości, jakiej nigdy przedtem nie miał w jej oczach. Bardzo dojmującej fizycznej rzeczywistości, większej niż była w stanie wyzwać u Kirka Abbotta, czy u innych chłopców, z którymi chodziła na spotkania.

W chwilę później opuścił pokój, zamknął za sobą drzwi i cicho wszedł po schodach do miejsca, w którym stała.

— Przepraszam, że tak długo trwa-

ło.

— Wcale niedługo.

Wziął jej ramię i wyszedł kierując się przed frontem domu. Dąb na trawniku przed domem wydawał się obcy. Wszystko było jakis wyraziste albo powiększone, nawet chrząst zwiru pod ich białymi tenisówkami. Zdawała jej się, że za chwilę ujrzy ogromne bałoniaste głowy wychylone ze wszystkich okien na wszystkiej piętrach, że usłyszy rozzwierające wołanie na alarm, że imię jej okrzykiwane będzie z dachów, że nastąpi posąg tłumów...

— Dokąd idziemy? — spytała dając mu prowadzić się wzduż murów.

— Chcę pani pokazać tę łąkę, którą opisałem w wierszu.

Nie było daleko. Zwirowana ścieżka wkrótce się skończyła i poczuł pod stopami pluszowy chłód ziemi. Księżyc wodnicze przeciekał przez gmatwaną dębowych liści: ziemia pod stopami, urozmaicona mozaiką światła i cienia, była jakis równieź jak woda. Doszli do niskiego ogrodzenia z drzewa. On przeskoczył pierwszy i wyciągnął ku niej ramiona. Myra weszła na górę poprzeczkę, skąd Homer podjął ją i postawił na ziemi. Po tamtej stronie ręce jego już nie puściły jej ciała — trzymał ją mocno.

— To tu — powiedział — łąka niebieskich dzieci.

Spojrzała mu przez ramię. To była prawda. Całe pole mienilo się tańcem niebieskich kwiatów. Wiatr wśród nich szczywał, a one kłaniały mu się białoniebieskimi falami ślicznej szpeti, podobny cichutkiem nawoływaniu się dzieci przy zabawie.

Pomyślała o wieczornych widokach ze swego okna, o owych wieczorach, kiedy to szlochala gorzko nie znając powodu swoich łez, o kopule budynku sekretariatu podobnej do ośnieżonego szczytu górskiego, i o niespokojnym kołysaniu się galei w świetle księżycy i o dźwięku śpiewie żalostnie dalekim odległym o wiele przecie i zbliżającym się z wolna, o czułych, niemądrych balladach i o zapachu białych tawul nocą i o gwiazdach jasnych jak lampy na poplamionym chmurami niebie, i przypomniała sobie dławiącą emocję, której nie rozumiała — i ogarnęła ją przerażenie, że to wszystko naraz i ostaniecznie skończy się za kilka miesięcy czy tygodni. Szczelniej otuliła rękoma ramiona chłopca. Był niemal zupełnie obcy dla niej. Właściwie nie widziała go aż do tego wieczora, teraz jednak był jej niewypowiedzianie bliższy, bliższy niż ktokolwiek inny.

Poprowadził ją na łąkę, gdzie kwiaty wznosiły się niebieskimi falami do jej kolan. Czula na nagim ciele ich miękki plastik i położyła się wśród nich, wydając ku nim ręce i tułała do nich usta i czuła że wkołał się, przymując je i obejmując tak długo, aż ogarnęło ją odurzenie. Chłopiec uciął obok niej i dotknął jej policzka, potem ust i włosów. Teraz oboje kłęczeli w niebieskich kwiatkach na wprost siebie. Chłopiec uśmiechał się. Wiatr nawiewał mu w twarz kosmyki jej włosów. Podniósł rękę i odgarnął jej włosy z czoła na tył głowy, gdzie zatrzymał dłoń i przyciągnął ją blisko do swej twarzy aż usta jej przywarły do jego ust, coraz mocniej i mocniej, dopóki jej zęby nie zgłotły boleśnie jego warg; poczuła słony smak krwi. Zabrał jej tchu — otworzyła usta i położyła się wśród szpeti niebieskich kwiatów.

Później miała na tyle szczeni, by powiedzieć sobie, że to nie ma sensu. Odeszła do pokoju z krótkim listem. Był to dziwny koturnowy i formalny list, może dlatego, że pisząc go, odczuwała śmiertelny strach przed samą sobą. Napisała mu o chłopcu nazwiskiem Kirk Abbott, którego ma posłubić tego lata, i tłumaczyła Homerowi jakim niepodobieństwem byłaby prośba kontynuowania pięknej lecz nielubianej przygody, jaka była się zdarzyła ubiegłej nocy na łące.

Raz go tylko później widziała. Widziała jak szedł dziedzińcem uniwersytetu ze swoją przyjaciółką Herthą, wysoka, lodygowata dziewczyna z grubymi szklami na nosie. Uceplona ramieniem Homera dziewczyna zanosiła się niepomahowanym, donośnym śmiechem, który słychać było o kilometr, a który jednak nie był prawdziwym śmiechem.

Myra i Kirk pobrali się w sierpniu tego roku. Kirk dostał pracę w agencji telefonicznej w Poplar Falls. Zamieszkał w małym lecz dobrze wyposażonym mieszkanku i byli ze sobą względnie szczęśliwi. Myra rzadko nawiedzała niewytłumaczony niepokój. Wierszy nie pisała. Jej życie zdawało się doskonale wypełnione bez pozostawiania miejsca, czy Homer nadal pisał, ale ponieważ nigdy nie widziała nic z jego rzeczy w czasopiśmie literackim, doszła do wniosku, że te jego wiersze niewiele chyba były warte.

Pewnego wieczoru późną wiosną, w kilka lat po ślubie, Kirk wrócił z biur zmęczony i głodny. Pod kuliernicą na stołku znalazł kartkę: „Jestem na kilka godzin w Carsville, Myra”. Było już ciemno — łagodny, księżycowy wieczór. Zaparkowała tam samo ogrodzenie. Łąka wygiadała do niej tak samo, jak ją pamiętała. Szybkim krokiem weszła w kwiaty i znalazła na kolana i zaczęła szlochad. Plakała długo, może z godzinę, a potem wstała i skrupulatnie otrząpiała spódnice i pończochy. Poczuła głębo- ki spokój, na powrót była panią, swojej woli. Wróciła do auli. Miała pewność, że już nigdy nie popełni tak śmiesznej rzeczy jak to tutaj, albo- wiem zostawała ot resztkę swej niespokojnej młodości poza sobą.

Przełożył JAN KEMPKA.

\*) Według obyczaju amerykańskiego przyjęcie i noszenie przez dziewczynę oznaki korporacji znajomego studenta stanowi rodzaj nieformalnych zaręczyn.

# OD TELIMENY DO „TELIMENY“

Chodzi tu o przestrzeń czasu pomiędzy działalnością tej, która pewnie rzeczy zdobyte w Peterburku - chowała w biurku, a tej, która - w założeniu - przejęła po tamtej trosce o elegancję kobiety.

Lodzianki były eleganckie. Oto dowody: W roku 1872 istniał tu magazyn mody i bielizny, Mieścił się w Nowym Rynku pod nr. 3, t. j. o dwa domy za ratuszem. Właścicielką jego była panna Elżbieta (może Elisabeth) Raeder.

Oto drugi dowód - w roku 1917 Niemcy okupanci mieli za złe lodziankom ich elegancję. Był to okres po manifestacji 5 listopada, proklamującym „Samodzielne Państwo Polskie”. Za słowo „samodzielność” Polacy mieli dać rekruta i pożyczkę na wojnę. W takiej to atmosferze robionej na siłę patriotyzmu wychodząca z Łodzi gadzinówka wołała: „Lodzianki obute i ubrane jak za najlepszych czasów, są głuche na wszystko i w pogoni za modną suknią zapominają, że w chwili przelomowej dla ojczyzny marnowanie pieniędzy na gaiganki jest czynem naganym”. Pod słowem „ojczyzna” rozumiano oczywiście owo bliżej nieokreślone „Samodzielne Państwo Polskie”, mające powstać pod niemiecką opieką na ziemiach zaboru rosyjskiego.

Zanim przytoczę inne informacje o kobiecych modach drugiego połowy XIX i początków tego wieku, jedna nieodczuwana uwaga. Kobiety łódzkie dzieliły się wtedy na trzy grupy: te eleganckie, które widać było na Piotrkowskiej i

Spacerowej (Kościuszki), te, które między 5-tą rano a siódmą wieczorem przędły, tkaly, ale same nosiły byle co i wreszcie te, które pracowały - jak to dziś określamy - w przemyśle odzieżowym. One miały się najgorzej, choć swoimi pokluciami palcami tworzyły te kreacje, które zachwycaly panów usztrajających Piotrkowska przez okna cukierni Roszkowskiego. W r. 1903 szwaczki zarabialy około 50 kopiejek dziennie. Aby się dostać do pracy, należało najpierw przepracować 2 - 3 a nawet więcej tygodni bezpłatnie, na próbie, wtedy właścicielka zakładu uznawała przydatność kandydatki i przyjmowała ją lub zwalniała. Były także właścicielki, które stale przyjmowały na próbie i po trzech tygodniach darmowej pracy zwalniały szwaczki bez względu na jej rzeczywistą wartość zawodową, a przyjmowały na próbie następną. Toteż właśnie szwaczki, modystki i dziewczęta uczące się tych zawodów demonstrowały w 1915 roku, domagając się poprawy losu. Mianowicie 22 lutego w lokalu Strzeży Robotniczej odbył się wiec, na którym wygłoszono następujące referaty: „Precz z niewolnictwem kobiet”, „Precz z prostytutką”, „Precz z wojną”, „Niech żyje równouprawnienie kobiet”, „Niech żyje socjalizm”. Na wiecu tym padło żądanie świętowania dnia kobiet - 8 marca. Zakończono wiec odśpiewaniem Marsylianki, Warszawianki i Hymnu Sufrażystek.

A więc o modzie.

Kapelusz był tym piękniejszą, im więcej przyczepiono do niego ozdób, za ozdoby zaś najbardziej atrakcyjną uznawano - ptaki. Dobór gatunku zależał od smaku modystki, jakie zaś gatunki cieszyły się największym wzięciem, łatwo się domyślić z faktu wprowadzenia w początkach tego wieku praw ochronnych niektórym ich gatunkom. Na przykład w Nowej Gwinei poddano ochronie ptaka rajskiego, gdyż wyniszczono go prawie doszczętnie. We Francji wybito jaskółki. Interesujące dane przywołał angielski statystyka przemysłowa z tamtych lat. Do samej tylko Anglii przywożono corocznie 30 milionów ptaków, a na kontynent - 150 milionów. Pewien kupiec londyński otrzymał w 1901 roku w jednym tylko transporcie: 32 tysiące kolibrów, 80 tysięcy ptaków wodnych i dodatkowo 80 tysięcy par skrzydeł. Bowiem ozdoba kapeluszy były nie tylko całe ptaki ale również ich części - głowa, skrzydła lub kompozycje z piór.

Moda ta wywoływała protesty miłośników zwierząt, bowiem łowcy ptactwa stosowali metody barbarzyńskie. Na przykład kolibry oskubywano żywcem, bo podobno tylko w takim wypadku piórka zachowują połysk, nie mówiąc już o tym, że krew zabitego ptaszka niszczy część upierzenia. Jedną z najdroższych ozdób były tzw. egretki. Nazywano tak piórko wystające na głowie czapki w czasie wysiadania jaj. Egretka zachowuje podobno pełny swój



urok, jeśli ją wyrwać żywej czapki.

Tyle o głowie pięknej pani. Popatrzmy z kolei na odwrotną stronę medalu, w to miejsce, gdzie dyktatorzy mody kobiecych umieścili turniure.

Turniura - to woreczek wypełniony przeważnie włosem, umieszczony z tyłu, pod suknią po to, by można było lepiej udrapować fałdy sukni. W Łodzi - trudno powiedzieć czemu - wypełniano turniury sianem. Ten tak istotny a jednocześnie niedyskretny fakt udało się ustalić dzięki ujawnieniu kilku interesujących wydarzeń z lat minionych.

Oto w roku 1888 ulica Łódzka znalazła postać tzw. „Głupiego Franka”. Pewnego dnia Franek, waleśając się po pasażu Meyera, zauważył, że jakieś eleganckiej damie wypadła spod sukni turniura. Dama, być może zdawała sobie z tego sprawę, bo przyspieszyła kroku i z lekkim rumieńcem mknęła ku Piotrkowskiej. Ale Głupi Franek, nie rozumiejąc sytuacji, podniósł zgubę, dogonił damę i podając jedną ręką turniurę, drugą nadstawiał czapkę po napiwek. Dama udała zdumienie, turniury nie przyjęła, ale dała mu kilka kopiejek na odepłatnie. Powiedziała przy tym, że może „to siano odnieść na pocztę”.

Dlaczego na pocztę? - Z dwóch powodów. Po pierwsze - niedaleko stamtąd, na rogu pasażu Meyera i Mikołajewskiej (Moniuszki i Sienkiewicza) mieściła się poczta. Po drugie - wraz z pocztą była tam „pocztaliteria” czyli urząd, organizujący komunikację dyliżansami. Stąd stajnie, konie, zapach konińskiego nawozu i stąd rada pięknej pani, by Franek zanosił turniurę na pocztę.

Innym razem inny chłopak, bynajmniej nie głupi znalazł taką samą rzecz. Trzymając ją w ręku chodził po Piotrkowskiej i oglądał każdą z

przechodzących pań z taką miną, jakby to właśnie oglądana zgubiła tę turniurę. Kiedy speszona, zawstydzona uciekała dorozka, on zaczynał swój chuligański proceder wobec następnego. Jeden ze świadków powyższego miał powiedzieć: „Ha, coż! Jeśli nie można znaleźć 100 rb, to dobrze choć znaleźć trochę siana i słomy”.

Na zakończenie tego turniurowego traktatu jeszcze jedno wydarzenie, którego widownią była ulica Zawadzka (Próchnika). Oto „babka” przesadziła w rozmiarze turniury. Zauważył to jakiś XIX-wieczny chuligan i niezłownie położył jej na turniurze cegłę. Ku uciechu gapiów przesała tak całą Zawadzka i dopiero na Nowym Rynku zasalutował jej stojący przed rufszem stójkowy i w pełnej szacunku postawie, zameldował: „Izwiniąs, madam, no kakuoj-to sukinnym kłupcz wam położył na eto samoje... tak skazał...”

Nie wszystkie kobiety przyjmowały nowości mody bezkrytycznie. W r. 1885 piękne łodzianki założyły Towarzystwo Antykosmetyczne. „Członkinie tego Towarzystwa wypowiadały wojnę nie tylko blanszom i różom (blanche i rouge), ale i turniurom oraz wszelkim protezom i tym podobnym ingrediencyom”.

Upadło jednak Towarzystwo Antykosmetyczne, upadło wobec właściwej kobiecie kokietery i umiłowania tego, co przynosi moda. W roku 1908 ogłoszono w Łodzi pierwszy konkurs piękności, organizowany przez członków Towarzystwa Etycznego „Czystość” jako impreza pornograficzna.

W jakimś czasie później kilka łódzkich fabryk zorganizowało gabinety kosmetyczne, jako instytucje pomagające kobiecie ciężko pracującej w pielęgnacji zdrowia i urody.

# CO NOWEGO W WFO?

Drugi w kraju, po warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, producent filmów krótkometrażowych czyli Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych prawie codziennie „wypuszcza w świat” je den film. Co więc nowego ujrza widzowie wśród filmów wyprodukowanych w popularnej „oswiatówce”. Po za znanymi już z doniesień prasowych filmami laureatów ostatniego festiwalu krajowego - reż. Jadwigi Żukowskiej „Moje nie dam” i reż. Włodzimierza Puchalskiego „Puszcza Białowieska” warto odnotować ukończone filmy reż. Zbigniewa Bochenka - „Collegium Maius” i „Rok Sześcsetny”. Pierwszy w sposób bardzo logiczny, bezpretensjonalny ukazujący wspaniały zabytek nierozwiniętych w związku z historią Uniwersytetu Jagiellońskiego - najstarszy budynek uniwersytecki, gotyckie Collegium Maius, jedno z nielicznych na świecie muzeów uniwersyteckich. „Rok Sześcsetny” to barwny reportaż, filmowa relacja z niecodziennych obchodów jubileuszowych 600-lecia Krakowskiego Uniwersytetu. Na ekranie ożywają dni wspaniałych pochodów rektorów i profesorów reprezentujących prawie wszystkie uniwersytety świata. Ożywa wspomnienie podniosłej manifestacji jedności nauki światowej i ludzi nauki.

© Życiu naszego kraju poświęcone są dwa filmy znacząco dokumentalisty reż. Jarosława Brzozowskiego - „Polska, zwykły dzień” i „Polska, święto urodzaju”. Te barwne impresje filmowe w wielu świetnych sekwencjach ukazują charakterystyczne przejawy życia w Polsce w czasie codziennej pracy, w czasie świąt i manifestacji państwowych. Bardzo interesującym zrealizowanym dokumentem o ludzkim życiu jest film reż. Witolda Zukowskiego „Kurpie”. Autor „kreśli kamerą” kilka filmowych portretów mieszkańców tego niegdyś najbardziej zapomnianego przez „Boga i ludzi” zakątka Polski.

© W filmach o sztuce wyróżnia się ciekawym, niebanalnym ujęciem tematu film reż. Konrada Nałęczkiego - „Zygmunt Waliszewski”. Na przykładzie kilku obrazów znakomitego naszego malarza zmarłego w roku 1936, Konrad Nałęczki stara się ukazać postać Waliszewskiego (artyście był kaleką, amputowano mu nogę) w zderzeniu z afirmacją życia, jego barwą i żywiołowością wyrażoną przez Waliszewskiego w obrazach. „Muzyka dawna” jest kolejnym filmem reż. Stanisława Grabowskiego, który w ciekawej formie ukazał na ekranie... muzykę dawnych mistrzów wykonywaną przez jeden z nielicznych w Polsce, a zagranicą bardzo wysoko oceniany - Zespół Muzyki Dawnej Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy.

© Ukończony został film reż. Andrzeja Szczygła - „Radogoszcz” - filmowa wypowiedź o potrzebie stałego

niezapominania „brodni ludzkiej”. W sposób można rzec postyciki, bardzo dojrzale, autorzy filmu (tekst pisał Stanisław Grochowiak) snują swoje rozważania o ludobójstwie na przykładzie okrutnej zbrodni popełnionej przez uciekających hitlerowców na 2 tysiącach więźniów Radogoszcza. Do historii bardzo już od naszych czasów odległej sięgnęła reż. Aleksandra Jaskólska, autorka „Słowiańskiej Winety” dając relacje filmową z prac archeologicznych, prowadzonych na Pomorzu Zachodnim w rejonie Wolina. Z naszymi Ziemiemi Północnymi związany jest barwny film reż. Witolda Zukowskiego „Żuławy”, w którym realizator przypomina o gospodarce roli tych ziem, o przywróceniu ich do życia w latach powojennych.

© Z zakresu nauki i techniki warto wymienić film reż. Jerzego Popiel-Popiołka „Laboratorium nieznanne”. Szeroko są już znane i cennie protezy medyczne produkowane przez Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi. Ich twórcy, a także szcześliwi użytkownicy mówią w tym filmie o jednym z odcinków naszej stałe rozwijającej się nauki. Do tego dorobku polskiej myśli naukowej i technicznej sięgnął reż. Edward Etler w filmie „Ludzie liczą”, dając bardzo interesującą próbę pokazania na ekranie pracy maszyn liczących.

© Wśród filmów krajowych ciekawych ukazujących piękno mało znanych zakątków Polski na wyróżnienie zasługują - film reż. Stanisława Kokesza „Listy z drogi”, w których ukazane zostały dwie miejscowości na Rzeszowszczyźnie - „stolica filisaków” Ulanów i piękny renesansowy Biecz. „Orawo, Orawo...” jest barwnym i panoramicznym reportażem reż. Kazimierza Muchy o również zapomnianym przez „naszą turystykę” pięknym zakątku Podhala leżącym zaledwie w odległości 35 kilometrów od Zakopanego.

© W tym roku jeszcze zrealizuje swój kolejny film dla dzieci reż. Wojciech Fikwe - będzie to „krótkometrażowy kryminał” wg scenariusza Janusza Nasfetera. Reż. Jarosław Brzozowski ukończy ciekawy film o interpretacji artystycznej tego samego tematu przez trzech malarzy, a reż. Zbigniew Bochenek wydziele realizować przy współpracy UNESCO film o współpracy najstarszych uniwersytetów we Włoszech, Francji, Anglii, Niemczech, Czechosłowacji i Polsce. Ukończone wreszcie zostaną filmy, do których materiały zdjęciowe przywołał ekipa WFO z Zachodniej Afryki, ze Srodkowego Atlantyku. Autorami tych filmów są Aleksander Domalewski i Stanisław Sliwkowski. Realizacji tych filmów na Atlantyku i w Afryce poświęcimy nieco miejsca w następujących numerach.

A. NIESMIAŁEK

## KRONIKA



### PONIEDZIAŁEK

Udana (choć nie pierwsza) bynajmniej! Dawno, dawno wystąpił z nią LOT! adaptacja telewizyjna „Milenia morza” nasuwa pytanie: czemu to milczenie zostało w TV tak uhonorowane, zaś tak źle traktowane jest słowo?

Telewizja nie zna wartości słowa. Traktuje je jak „zobowiązanie”, bez dialogu nie byłoby teatru, bez informacji - Dziennika, bez komentarza - publicystyki. Pełni więc sło-

wo wyłącznie funkcję służebną, uzupełnia obraz. Przyjęto, że telewizja jest sztuką wizualną. Wierni tej tezie degradujemy słowo, nie traktując serio tych piękności jakie za sobą niesie. Danuta Michalowska recytowała kiedyś fragmenty „Oniegina”, potem jej recitale przesunęto w programy dla dzieci i młodzieży. Jeszcze dawniej czytano nam w niedzielę „Pana Tadeusza” - lecz, pomijając już fakt, że z tego typu audycji zrezygnowano - gdzież proza współczesna? Czemu przekazywać ją wyłącznie poprzez adaptacje, poprzez fabule, rekwizyt lub gest aktora, gdy słowo, słowo dopiero rozszerzyć może granice wyobraźni, zakreślić 17-centymetrowym okienkiem... Przed laty Hanuszkiwiec opowiadał, że chciałby odczytywać w telewizji „Upadek” Camusa.

### WTOREK

„Radio i Telewizja” wyszło po raz pierwszy. Chwała i sława piśmu, które informacje

wstępne i zapowiedzi ma fatalne, ale potrafi niekiedy dożyć trzeźwo ocenę reklamowane przez siebie audycje. Niedawno Witals Jankowski, naczelny redaktor programów filmowych TV „sam z siebie” skrytykował wielbioną powszechnie serię „Chwila wspomnień”. Rządki to dowód odwagi! I nawet sprzeciżyć się z nim nie można (i nie wypada...). Pierwsze odcinki „Chwili wspomnień” bardzo wszystkich radowały - a potem zaczęła się nieciekawa młocka filmowa poparia nudnym komentarzem. I am sorry, lecz angielska „Chwila wspomnień” robiono o wiele lepiej.

### ŚRODA

Narzekałmy, że Irena Dzieciła zbyt atrakcyjna, że indywidualność za silna i że eksponuje siebie, a nie zapowiadane programy. W porządku - za to teraz mamy spikerów ładnych, stonowanych, nie natrętnych, miłe i bezosobowo usmiechniętych - oraz najdoskonalej mdłych. Do skłasyfi-

kowanych już uśmiechów „wojskowych”, „dziedzińskich” oraz „dyrektorskich” można śmiało dołączyć nowy uśmiech - niezmienny „uśmiech spikerski”.

### CZWARTEK

Na jakichże to było wszystkich rozgrywane bebeczki! Te spojzenia - znaczące i ponure, te twarze - tajemnicze i przejęte, ten ton i gest, i oczy w siebie wpatrzone, i profile zbliżone, i najazdy kamery, i płaskość tła, i strzępy dialogów - urywane, lecz pełne podtekstów!

Jak nie „sztuczny człowiek”, to coś innego w tym stylu musi się znaleźć w „Sfinksie”. Bajka Andre Maurisa o lekarzu, który tak kochał kobiety, że i po śmierci pragnął być z nią razem przez wieczność, ta ładna bajka zrealizowana została w sposób seriozny i nadęty, tak, żeby ten... tego dreszczyk przeszedł widza. A gdzie propaganda naukowego spojrzenia na świat, panowie ateści i wolnomyśliciele?

### PIĄTEK

„Grzech” nie jest najlepszą sztuką Zeromskiego i nie zmienia tego walory społeczne utworu. Bukowiec faktycznie nie powinien żenić się z Anną - bo za młodzi i nieustabilizowani (patrz Kodeks Rodziny), a znów Annie parę lat studiów bardzo by się przydało i do lożnicy Bukowicza też wchodzić zaraz nie powinna. Z tym wszystkim, jest w „Grzechu” jedno wspaniałe studium kobiecej tragedii - myślę o panie Parmen - i jedynie wielka namilknność, żarliwa pasja, za jaką Kosobudzka zagrała tę rolę, usprawiedliwiła wystawienie „Grzechu”.

### SOBOTA

Niebezpieczeństwo zaczyna się wówczas, kiedy TV wchodzi w konaszczy z PAGARTEM. Pamięliśmy straszny pomysł z Festiwałem Włoskiej Piosenki - w Warszawie oraz mocno wbił nam się w głowę poziom jej uczestników. Z zagranicznych

piosenkarek występujących w nowym programie „Przedstawiamy” część nie potrafi śpiewać, a część nie umie się ruszać (podkreślam: tylko części). Tancerze prezentowali groteski pasujące do poziomu występów na dancingach. Barbarze Ryskiej, prócz parodi kazano jeszcze mówić ży tekst, który na szczęście miejscami pozapomniała, zaś cłoui wszystkich to konferansjerka w wykonaniu W. Filiera. Oto dwa cytaty: O debiucie - „Tak, jakby Ewa po raz pierwszy ugryzła jabłko - jeszcze swoimi zębami”. O tańcu - „Taniec - sztuka, gdzie nogi myślą, że są głowa”.

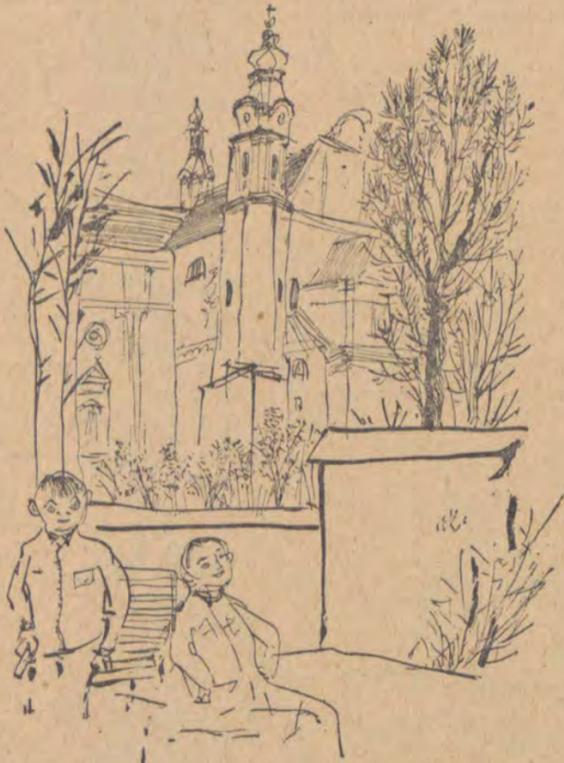
W sumie - bardzo przyjemna audycja.

### NIEDZIELA

Jakże monotonne życie ma Ryszard Serafinowicz! Czy nie meory go fakt, że zadat już w tym życiu paręnaście tysięcy pytań, na które - z góry znał odpowiedzi?

AGATA BARBARA CELSKA

# LASK



No i wyskoczyliśmy na małą przejażdżkę poza miasto — taki bezinteresowny spacer.

A pan wie jak teraz wyglądają drogi? — z obydwu stron drzewa żółte, pomarańczowe, czerwone, brązowe — jednym słowem złota we wszelkich odmianach i fakturach.

Napływają dwoma pasami z obu stron samochodu. Słoneczko, jeszcze wysoko, jedziemy sobie nie pomaluj, nieprędko — tak sześćdziesiątka na godzinę — w sam raz. Aby było przyjemniej, kierowca odkłada radio i recital. Wędrak wywołują przez uchylone okno i czepiają się wysoko gałązek drzew; stamądy spływają migoczącymi liśćmi na pola; zupełnie jakby je ktoś rozrzucił garściami.

Zwracam się do kierowcy: „patrz pan! Arcypies!” Na kierowcy nie robi to wrażenia. „Dopiero teraz pan go widzi? — Biegnie z nami już od Sieradza”. Arcypies wygląda zupełnie jak uosobienie (a raczej upiśnienie) pogodnej jesieni. Grzbiet ma brązowy z błyszczącym złotem, boki żółtozłote, brzuch z poierwanego białego złota, łapy przeświecające matowym złotem, uszy wielkie i sterzące z rubinowego złota, pysk błyszczący i uśmiechnięty i oczy

trudności z wdrapaniem się na wierzchołki drzew, więc tańczą pod pniami, szeleszcząc pachnącymi liśćmi.

Kierowca wspomina: „Pan wie! — Oblatałem kupę świata w czasie wojny: — byłem w Norwegii, Francji, Belgii, Holandii, Włoszech, Niemczech, Austrii, Szwajcarii — panie! Gdzie ja nie byłem! Gdybym tak umiał, to bym to wszystko opisał. Moje jeszcze kiedy spróbuje”.

Zamyśla się; coś go jednak trapi, bo po dłuższej chwili „jak odwałę powieść, to wszyscy zawodowi pisarze pójdą w kit!” — milknie — i znów jedziemy wywołaną słoneczkiem drogą.

Z prawej strony coś nieznacznie i stale narasta — oglądam się w bok: — No, oczywiście. Pojawili się nie wiadomo skąd!

Zwracam się do kierowcy: „patrz pan! Arcypies!” Na kierowcy nie robi to wrażenia. „Dopiero teraz pan go widzi? — Biegnie z nami już od Sieradza”.

Arcypies wygląda zupełnie jak uosobienie (a raczej upiśnienie) pogodnej jesieni. Grzbiet ma brązowy z błyszczącym złotem, boki żółtozłote, brzuch z poierwanego białego złota, łapy przeświecające matowym złotem, uszy wielkie i sterzące z rubinowego złota, pysk błyszczący i uśmiechnięty i oczy



jak wilgotne kasztany co dopiero spadły z drzewa. Do tego wspaniały, puszysty ogon z ognistego złota, mieni się ze wszystkich stron.

A przy tych wspaniałościach, Panie Redaktorze, jest bardzo sympatyczny i po piesku zwyciężają miły tak, że zapominam się o tym przytłaczającym zlocie.

Próbuję go zaprosić do wozu — merda ogonem — nie chce. Nie znosi zapachu benzyny. Biegnie więc obok i od czasu do czasu macha mi do siebie — on ogonem, ja ręką.

Po drodze wysiadamy na chwilę w Tumidaju. Jest tam taka mała jakby knajpa (ta karczma Tumidaj się nazywa) gdzie można się napić piwa z miodem. Pijemy więc w dwójkę — każdy po kufelku. Kierowca pić nie może, a herbatę... „iii... będę tam pił herbatę” pochmurny patrzy w siną dal. Zanim go bardzo, więc pijemy jego zdrowie. Pycha! (zapewne widzi pan jak głośno szepczemy się po brzuchach).

Potem w drogę: ścigamy się — raz my, raz Arcypies góra. Piwo z miodem przyspieszyło obroty jego ogona i podobny jest teraz do ognistego samolotu o tylnym napędzie.

Tak dolatujemy do Łasku. A w Łasku wysokie drzewa, kasztany spadają na ziemię, chłopy zbierają kasztany, małe domki rosną przy wąskich uliczkach, na chodnikach strzyżone akacje. Wałęsamy się po miasteczku.

Arcypies się lasi, odbiega, przybiega, znów odbiega, nosem zagarnia wszystkie niesienne wonie i ogonem otrępuje kamieniczki.

(Po naszym wyjeździe Łask został bez odrobiny zapachu i kurzu: Arcypies, to sprawił). Słoneczko się zniżyło i chłodne podmuchy wyganają nas do domu.

Ale począwszy od Pabianie Arcypies zaczął nieznacznie blednąć, nikać, rozwiewać się jak mgła; a przy moście Kolei Obwodowej rozplynął się w powietrzu zupełnie. Przeżalił go: zgrzyt tramwajów, loskot pedałujących aut, jazgot ruchliwych ulic, spaliny i brak tlenu.

Arcypies pozostał gdzieś na polu. Jaka szkoda! WACŁAW KONDEK P.S. Pan sobie wyobraża, jakby to było fajno, gdyby z takim psem wyjść na Piotrkowska?

# GO pisać inni

Bieżący numer tygodnika „POLITYKA”

wydany został pod auspicjami znamienitych wydatków, które znajdują się w centrum uwagi całego świata. Są to: zmiany personalne w partii i rządzie ZSRR, zwycięstwo Labour Party w Anglii oraz udana próba z chińską bombą atomową.

„Polityka” zestawia głosy opinii partii komunistycznych Europy oraz Komunistycznej Partii Chin w publikacji zatytułowanej „Międzynarodowy ruch komunistyczny. Po decyzjach KPZR”.

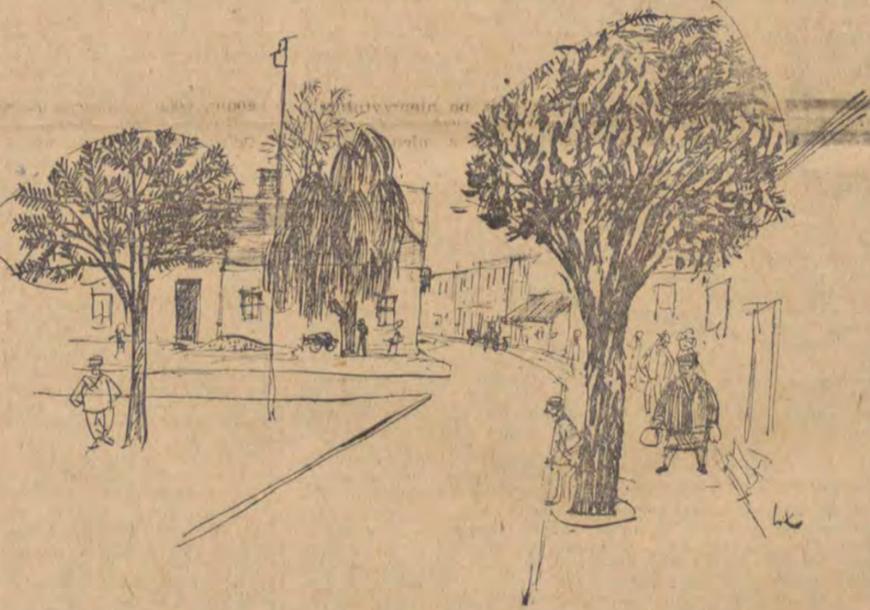
„Polityka” przynosi również w bieżącym tygodniu głosy prasy światowej o pierwszej doświadczonej eksplozji jądrowej w Chińskiej Republice Ludowej. Z innych materiałów politycznych warto zapoznać się z publikacją Gustawa Gottesmana pt. „Trudny mandat” omawiającą wyniki ostatnich wyborów w Anglii. Niezwykle ciekawe są również materiały krajowe, z których na pierwszym miejscu postawimy artykuł Anto

nego Gutowskiego pt. „Małe żenstwo z rozsądku”. Czytamy tam: „Kiedy młoda para zamierza stanąć na ślubnym kobiercu z ust dorosłych pada pytanie: no, a gdzie będziecie mieszkać?”

Takie samo pytanie postawić wypada w obliczu małego żenstwa... wyżu demograficznego z rezerwami produkcji. Jak wiadomo najtańszym sposobem uruchomienia dodatkowych stanowisk pracy dla młodzieży nadciągającej szeroką falą do produkcji jest wykorzystanie już istniejących rezerw. Chodzi tu o tak zwaną dwuzmianowość, a nawet trójzmiannowość w przedsiębiorstwach gdzie dotychczas praca odbywała się na jedną tylko zmianę. Pełna zmianowość pozwala bowiem na maksymalne wykorzystanie mocy produkcyjnej istniejących urządzeń a tym samym odsuwa groźbę kosztownego inwestowania, a co za tym idzie i zaciskania pasa. Taką jest jedna strona medalu, ale drugą stanowi budownictwo mieszkaniowe. Unikając budowy nowych zakładów produkcyjnych trzeba bowiem budować nowe mieszkania dla nowych robotników. A to stanowi już mocny hamulec wykorzystania istniejących rezerw produkcyjnych. Taką jest w skrócie sens podstawowej części artykułu Gutowskiego, który porusza również inne zagadnienia związane z problematyką wyżu.

Wyż, chociaż innego rodzaju, nadciąga również na polsku drogi. Zagadnieniu temu poświęca część artykułu p. mgr Franciszek Józwiak, zastępca komendanta głównego MO: „W końcu roku 1963 ilość samochodów w Polsce była 30-krotnie większa niż w 1939 r. i 7,5-krotnie niż w roku 1953. W jednym tylko roku 1963 przybyło 13,3 proc. samochodów. Po naszych drogach jeździ obecnie 1.689.000 pojazdów. Opracowane prognozy rozwoju motoryzacji przewidują dalszy szybki wzrost ilości samochodów. Można ocenić, że w roku 1980 będziemy ich mieć o 332 proc. więcej niż w roku 1960.”

Mimo, że ilość samochodów poruszających się po drogach polskich nie jest jeszcze imponująca już dziś przeżywamy przed smak tego, co nas czeka, gdy motoryzacja na dobre się rozkręci. Chociaż bowiem z roku na rok spada globalna ilość wypadków drogowych, to niestety w niepokojący sposób wzrasta ilość zabitych i rannych w tych katastrofach. W związku z tym przed naszą milicją drogową stoją ogromne zadania.



# Hotka KSIĄŻKAMI

## POŚRODKU CZASU

Reportaż Bohdana Drozdowskiego znamy z pracy literackiej, mamy wyrobione o nich zdanie. Ale dopiero przeczytane na nowo, w książce, stają się zarówno ich autorem, jak i same teksty w nowym, bardziej ostrym świetle.

Bohaterami reportażu Drozdowskiego są przede wszystkim ludzie, którzy wchodzą w życie, lub jeśli starzy, to tacy, którzy ujawniają nam coś, czego nie odkrywamy w pierwszej chwili, gdy patrzymy na rzeczywistość własnymi oczyma. Jego bohaterowie żyją sprawami, w kręgu których się znaleźli i są gospodarzami, może to za słabo powiedziane demurgami, są

ludźmi, którzy kreują, tworzą rzeczywistość. Autor nie szczędzi bohaterów, pokazuje ich w pantoflach i przy warszacie, wtedy kiedy okazują się wielcy i kiedy wydają się mali. Dlatego też, przeważający w książce reportaż produkcyjny — nie jest martwy, tętni życiem, czuje się w nim rytm naszych czasów.

Ale Drozdowski nie ogranicza się do reportażu produkcyjnego, chwytając wszystkie ważniejsze zjawiska i konflikty, jakie niestę nasz czas. Przede wszystkim stara się obnażyć mity, którymi żywi się przeciętny Polak. Latwo to przesłodzić na reportażu z tytułowanym Hoza 9. Jego bohater — stary człowiek, który przeżył powstanie, wraca do domu, w którym walczył, ratował innych i przeżył najgorsze chwile swego życia. Chce to miejsce zobaczyć jeszcze raz, wspominać, zobaczyć ludzi, tylko tyle — nie więcej. Mieszkańcy domu witają go jednak obojętnie, nawet wrogo. Chłopiec, którego wynosił na własnych rękach spod bomb — pyta — co z tego, że miałem kiedyś pięć lat, jednocześnie przytrzymuje drzwi, by nie wpuścić starożytności do mieszkania.

Czytelnik znajdzie w książce Drozdowskiego zarówno ostre konflikty, jak i sytuacje, czy postacie groteskowe. To sympotom, dla pisarstwa Drozdowskiego. Autor rozbił tradycyjne formy reportażu i wykorzystuje wszystkie środki ekspresji, by nam pokazać co zamierzył w pełnym świetle. I to wyróżnia reportaż Drozdowskiego spośród mnóstwa tych, które czytujemy na co dzień. Książka ta, to dokument literacki naszych czasów, tym bardziej wartościowy, że odkrywczy. Dawno nie czytałem tak dobrze napisanych reportaży.

JHW

Bohdan Drozdowski „Tyłko pamięć”. Wyd. Literackie, Kraków 1964, str. 156, cena 14 zł.

## „OPOWIADANIA WYBRANE” FILIPOWICZA

Wybrał je ów jeden z najciekawszych pisarzy współczesnego Krakowa z pięciu tomów nowel („Krajobraz niewzruszony”, „Profil motów przysięgi”, „Ciemność i światło”, „Biały ptak”, „Mój przyjaciel i ryba”), z siedemnastu lat twórczości rozpoczętej nie przypadkiem chyba właśnie „Krajobrazem niewzruszo-

nym”. Prawda, że Filipowicz pisze również powieści, ich wątki (np. okupacja oglądana z niewinności naby peryferii) wkradają się do opowiadań i z nich wracają do dłuższych bestrzyżycie całosci. Zresztą i poszczególne zbiory nowel, zatem i część „Opowiadań wybranych” można czytać „powieściowo”, skłania do tego raz po raz to samo miejsce akcji (okupacyjny kraj obraz kamieniolomów), te same sylwetki bohaterów (zazwyczaj profile przyjaźni narratora-autora), te same ulubione (nie tylko wdękarskie) sytuacje i motywy.

Prozę Filipowicza komponuje i modeluje w opowiadaniu zazwyczaj jednak portret człowieka, on też najbardziej wyraziście określa i wyraża humanizm tej prozy. Humanizm w sensie psychologicznym i moralnym (choć pisarz wszystko rozumiejąc w swoich bohaterach — nie wszystko im przebacza), a także humanizm społeczny, obecny zwłaszcza w noweliściycznych wspomnieniach z międzywojennego dwudziestolecia. Jest to humanizm spokojny, epizyjny, szczególnie wstrzemięźliwie racjonalny sentyment, odmierzający skrupulatnie dystans

wobec bohatera — któremu jednak nie, co ludzkie, nie jest, nie może być obojętne. I ten humanizm, wyrażony na ogół piękną, acz trudną sztuką powieściowego pytania, piękną i najbardziej trwałą satysfakcją z lektury „Opowiadań wybranych”.

Z. P.  
Kornel Filipowicz: „Opowiadania wybrane”. Wyd. Literackie 1964, s. 440, cena 35 zł.

## KSIAZKA DO CZYTANIA

Ta powieść warta jest ze wszelkich miar przeczytania. Napisał ją pisarz austriacki, urodzony w 1919 roku w Wiedniu, przed czterema laty (1960). Przełożona obecnie na język polski przez Eddę Werfel (dodajmy: dobrze przełożona) winna zdobyć sobie wielu czytelników. Ma intrygującą fabulę i jest po prostu ciekawa. W ostatnich latach ukazują się niemało powieści, w których „nie się dzieje”. Autorzy — absorbowani problemami warsztatowymi, gubią często z pola widzenia czytelnika, nie starając się go zainteresować. Pisząc o książce Hansa Leberta, że warta jest przeczytania, nie chcę bynajmniej przeciwstawić jej takim utworom jako coś gorszego lub lepszego. Nie. Cho-

dzi mi o to, że jest inna.

Rzecz dzieje się po drugiej wojnie światowej w zapadłym kącie Austrii — we wsi Schweigen, co znaczy po polsku Milczenie i w tym wypadku ma to swoją wymowę. Bohaterem jest marynarz, wracający po wielu latach, do rodzinnej wsi, o której autor pisze, że „jest to okolica opuszczona przez Boga i ludzi”. Marynarz czuje od chwili pojawienia się, że mieszkańcy jego wsi łacy i jednocy jakaś tajemnica, którą stara się on rozsupłać. Nie wydaje się to łatwe, zwłaszcza, że popelnione zbrodnie sięgają czasów wojny, a nie każdy chce i może do nich wracać. Również tytuł „Wilcza skóra” ma tu swoją wymowę. Ludzie-wilki, ludzie w wilczych skórach, grabież i prawo pięści — oto, co zdaje się królować w tym mrocznym hitlerowskim świecie. Ciekawa fabuła spleta się tutaj z ciekawą problematyką, próbą sięgnięcia do korzeni zła, próbą odkrycia tajemnicy, której wszyscy strzeżę.

J. K.

Hans Lebert: „Wilcza skóra”. Przełożyła Edda Werfel, Wyd. Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa 1964.



SAKI (H. H. MUNRO)

# Koniec Vendety



W lesie porastającym wschodnie zbocze gór, pewnego zimowego wieczoru stał mężczyzna. Zachowywał się jak myśliwy oczekujący nadejścia grubego zwierza, aby potem, kiedy odległość będzie dostateczna, strzelić. Jednakże tym razem, to nie było zwykłe polowanie. Ulrich von Gradwitz przetrząsał topniejący w ciemności las w poszukiwaniu pewnego człowieka, który był jego wrogiem. I gdyby w tę narastającą noc, tu, w tym odosobnionym miejscu, mógł spotkać Georga Znaemym byłoby to spełnieniem jego wszelkich marzeń.

Ulrich von Gradwitz nie zdążył jeszcze obejść dookoła obrzymiego pnia drzewa bukowego, kiedy stanął twarzą w twarz z człowiekiem którego szukał.

Dwaj wrogowie nieruchomo, bez słowa dłuższą chwilę stali wpatrzni w siebie. Obaj trzymali przygotowane strzelby. W sercach mieli nienawiść, a w umysłach chęć zabijania. Nareszcie mieli okazję zakończyć tę grę, która stała się pasją ich całego życia. Jednakże człowiek, który znalazł się pod wpływami przepisów i zakazów stworzonych przez cywilizację, nie potrafił bez słowa z zimną krwią zastrzelić swojego sąsiada. I nim którykolwiek z nich zdolał podjąć jakąś decyzję, ten moment wahania został wykorzystany przez siły przyrody. Dzikie rzyki wywołane przez zrywające drzewa i zanim obaj wrogowie zdążyli odskoczyć od pnia, przysięgli ich spadająca masa.

Ulrich von Gradwitz leżał na ziemi. Jedną ręką zdrewniała mu pod ciężarem ciała, a druga była uwieczniona przez gałęzie. Nogi przycisnęło spadające drzewo. Jego ciężkie myśliwskie buty, które włożył przed wyjściem do lasu, uchroniły stopy przed zmiażdżeniem. I chociaż nie doznał poważniejszych obrażeń, nie był w stanie sam o własnych siłach uwolnić się. Gałęzie skaleczyły mu twarz i musiał zetrzeć krew z powiek aby nacznie przekonać

się o swoim tragicznym położeniu. Tuż obok, tak blisko, że w normalnych warunkach mógłby go dotknąć, leżał Georg Znaemym, który był tak samo bezradny w swoich bezowocnych zmaganiach.

Ulrich zaczął się modlić, dziękując Bogu za uratowanie mu życia. Georg, oślepiony przez krew, która zalała mu oczy i twarz, przestał na chwilę szamotać się wśród gałęzi i zaczął nasłuchiwać. Nagle roześmiał się ponurym śmiechem.

— Żyjesz jeszcze, chociaż już dawno powinienś gryźć ziemię! — krzyknął. — Zostaniesz tu pod tym drzewem. Ha, ha, ha, a to dobre! Ulrich von Gradwitz schwytały w ukradzionym przez siebie lesie. To las cię ukarał! I znów zaśmiał się szyderczo.

— Ja jestem w swoim le-

— odpowiedział Ulrich. — Kiedy moi ludzie przyjdą mnie uwolnić, dopiero wtedy przekonaś się na własnej skórze, jak traktuje się kłusowników. Błada ci!

Georg milczał chwilę i nagle powiedział szybko: — Jesteś pewien, że twoi ludzie przyjdą tutaj pierwsi? Ja też nie jestem sam. Moi ludzie są zupełnie blisko i oni tu zaraz przyjdą. A kiedy wyciągną mnie spod tych przeklętych gałęzi, każę im by przynieśli cię porządnie tym drzewem. Będziesz już zimny, kiedy cię znajdą. Nie martw się, prześlę wyrazy współczucia twojej rodzinie.

— Pocieszasz się — mruknął Ulrich — ale nie zapomnij o tym, że lada moment mają nadejść moi ludzie. Kazałem im iść za sobą w odległości dziesięciu minut. Siedmiu z nich powinno już

tu być, a kiedy mnie wyciągną, oczywiście, nie zapomnę zrobić z tobą tego co dla mnie przygotowałeś. A ponieważ jesteś schwytyany na kłusownictwie, twoja rodzina nie otrzyma ode mnie listu kondolencyjnego.

— Dobrze — warknął Georg — dobrze. Ta kłótnia musi się skończyć walką na śmierć i życie. Będziemy się bili my i nasi ludzie. Teraz już nikt nie będzie w stanie nam przeszkodzić. Seżejniej i bądź przeklęty, Ulrichu von Gradwitz.

— Ja też ci tego życzę, Georgu Znaemym, ty złodzieju. Mówił tak, ale wiedzieli jednocześnie, że będą musieli długo czekać nim ktokolwiek ich znajdzie. Obaj mieli wątpliwą nadzieję by ktoś mógł w najbliższym czasie przyjść im z pomocą.

Przestali już zmagać się z masą leżącego na nich drzewa. Z pewnym wysiłkiem Ulrich zdolał wyciągnąć z kieszeni flaszkę wina. Trwało to dość długo. Samo odkorkowywanie zajęło mu sporo czasu, ale jakże boskim płynem wydało mu się to wino.

Zima była łagodna i spadło już trochę śniegu, jednakże unieruchomieni mężczyźni nie cierpieli zbyt długo z powodu zimy. Ale wino grało i wpływało na polepszenie samopoczucia zranionego i leżącego pod drzewem Ulricha. A kiedy spojrzął w stronę swojego przeciwnika, który ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się by nie jęczeć z bólu, zrobiło mu się go żal.

— Czy sięgniesz butelkę, jeżeli ją rzucę do ciebie? — nagle zapytał Ulrich. — To wino jest niezłe. Napijmy się, nawet jeżeli dzisiejszej nocy jeden z nas umrze.

— Ja prawie nic nie widzę. Krew zakrzepła mi na oczach. A oprócz tego mam pewne zasady: nie piję z nieprzyjaciółmi.

Ulrich leżał w milczeniu słuchając monotonnego szumu wiatru. Kiedy patrzył na znajdującego się tuż obok człowieka, walczącego z bólem i wyczerpaniem, przyszła mu do głowy pewna myśl. Myśl ta zaczęła przybierać coraz bardziej realne kształty. Wywierana przez ból i wyčerpanie zadawniona dzika nienawiść powoli ustępowała miejsca innemu uczuciu.

— Sąsiedzie — powiedział Ulrich łagodnie — zrobisz co będziesz chciał, jeżeli twoi ludzie przyjdą pierwsi. Ja zmieniłem postanowienie. Jeżeli moi ludzie przyjdą pierwsi, każę najpierw ciebie uwolnić spod drzewa. Zarliśmy się całe życie jak idioci o głu pi kawałek lasu, w którym drzewa nie mogą wytrzymać nawet lekkiego podmuchu wiatru. Leżąc tutaj doszedłem do wniosku, że jesteśmy ostatnimi durniami. Przecież w życiu jest wiele przyjem-

niejszych rzeczy niż kłótnia o pas graniczny. Sąsiedzie, jeżeli pomożesz mi pogrzebać tę starą waśń, ja... ja proszę cię żebyś został moim przyjacielem.

Georg Znaemym milczał dość długo i Ulrich pomyślał, że on zemdłał z bólu. I nagle Georg odezwał się. Mówił wolno z drżeniem w głosie.

— Wszyscy się zdziwią, kiedy zobaczą nas razem jadących na jarmark. Nikt z żyjących nigdy nie widział członków rodziny Znaemym i von Gradwitz rozmawiających w pokoju i przyjaźni. I jaka radość zapanuje i pokój wśród naszych ludzi, kiedy się dowiedzą, że pogodziliśmy się i że już nie ma nienawiści, która dzieliła dwa skłócone dotąd rody. A kiedy nasi ludzie będą żyli w przyjaźni, będziemy silni i nikt nam nie zagrozi... Przyjedziesz do mnie by spędzić noc sylwestrową pod moim dachem, a ja też przyjadę na uroczystość do twojego zamku... Nigdy nie wystrzelę na twojej ziemi, jeżeli mnie nie zaprosisz. A ty będziesz mógł przyjechać do mnie i polować na dzikiego zwierza.

I jeżeli my zawrzemy pokój nikt nie będzie w stanie tego pokoju zerwać. Nigdy nie miałem dla ciebie innych uczuć oprócz nienawiści, ale teraz cieszę się, że te pół godziny tutaj zmieniło wszystko. Ty pierwszy zaproponowałeś mi bym napił się wina... Ulrichu von Gradwitz, bądź twoim przyjacielem.

Obaj mężczyźni pograżyli się w milczeniu. Myśleli o tym co się stało. Myśleli o tej zmianie jaka nastąpiła w nich w tak dramatycznych okolicznościach. W zimnym po nuryim lesie, w którym tylko wiatr zawodził wśród nagłych gałęzi ocierając się z gwizdem o pnie drzew a oni leżeli i czekali, aż ktoś im przyjdzie z pomocą. A każdy z nich modlił się by jego ludzie przyszli pierwsi, aby on mógł uczynić honorowy gest w stronę wroga, który stał

się teraz jego przyjacielem.

Kiedy wiatr uciął na chwilę Ulrich przerwał milczenie. — Zawołajmy pomocy — zaproponował. — W tym spokoju nasze głosy może ktoś usłyszeć.

— Wątpię czy się przedrą przez te drzewa, ale możemy spróbować. No, razem.

Dwa męskie głosy wzbily się w długim przeciągłym myśliwskim okrzyku.

— Spróbujmy jeszcze raz — powiedział Ulrich kilka minut później. — Wydawało mi się, że coś słyszałem.

— Ja nie słyszałem — rzekł Georg ochryplym głosem.

Znowu na kilka minut zapanowała cisza i nagle Ulrich wydał okrzyk radości.

— Widzę jakieś postacie, które zbliżają się przez las. Idą tą samą drogą, którą ja przyszedłem.

Obaj mężczyźni zaczęli krzyczeć tak głośno jak tylko mogli.

— Usłyszeli nas! Teraz się zatrzymali. Chyba nas widzą. Biegną wzdłuż wzgórza w naszym kierunku — krzyknął Ulrich.

— Ilu ich jest? — spytał Georg.

— Nie widzę dokładnie — powiedział Georg — dziewięciu albo dziesięciu.

— To są twoi ludzie, bo ja wziąłem ze sobą tylko siedmiu.

— A teraz pędzą ile sił w nogach. Dzielne chłopaki — ucieszył się Ulrich.

— Czy to twoi ludzie? — spytał Georg. — Czy to twoi ludzie? — z niepokojem powtórzył pytanie nie słyszac odpowiedzi Ulricha.

— Nie — odparł Ulrich i zaczął się śmiać tak jak się śmieje człowiek, który ze strachu postradał zmysły.

— A kto to jest? — Georg zaczął przecierać oczy żeby coś zobaczyć.

— WILKI

Przełożył z angielskiego: ROMAN GORZELSKI

## Lewym okiem



KU WYGODZIE MIESZKAŃCÓW

Wszystkim naraz nie dogodzi się nigdy. Ten fakt ma zresztą swoją zaletę, bo zawsze można przyjąć pozycję niezadowolonego i z tej pozycji napisać satyryczny felieton. Jak ktoś na przykład mieszka na Chojnach, a pracuje na Zabieńcu, to mu wszystkie przystanki „piątki” po drodze są niepotrzebne, a nawet przeszkadzają, bo przedłużają podróż.

Ale uwiad nie tylko dla takich i im podobnych „piątek” i wszystkie inne linie tramwajowe zbudowano, skoro taki w nich ścisk od rana do nocy. Rano — bo do pracy i do szkół. Po południu szczyt — zmiana w fabrykach. Wieczorem — bo powrót z fabryk. W międzyczasie — bo część wozów odpoczywa w zajezdniach. W niedzielę — bo jeszcze większa część wozów odpoczywa, do pracy przecież nikomu się nie śpieszy, siedzi w domu.

Ścisk w tramwajach musi być. Tramwaj bez ścisłu musiałby się inaczej nazywać, inne też miałby przeznaczenie, mianowicie służyłby wygodzie mieszkańców. Obecnie ma chyba inne cele, bo o wygodzie mowy nie ma. Przystanki, które przeszkadzały pasażerom z Chojan i Zabieńca, przeszedzono pośrodku, żeby każdy z nas przynajmniej połowę każdej trasy przebył piechotą —

z domu do przystanku i od przystanku do celu podróży. Taka sytuacja sprzyja usportowieniu mieszczuchów — coraz więcej starszych pań skacze w pędzie przy Zielonej do dwójki, przy Rewolucji do jedynki, młodzi ludzie od dawna przesiadają pamięć gdzie są przystanki — po co to komu? — pęknięcia podstawy czaski oplacają się miastu lepiej niż zagęszczenie stacji i — tym samym — strata na „przelotowości”.

Żeby było śmiesznie, trasa niektórych linii o różnych godzinach różnie przebiega, a niektóre przystanki ważne są tylko w pewnych ściśle określonych porach dnia. Jedzie sobie staruszka na Stoki, a wysiada na Widzewie. Ubaw jak złoto, nie? Konduktor pokazuje jej zegarek i zanosi się od śmiechu, wraz ze słuchaczem podstawowego zakładu naukowego, zacieranym dwoma palcami o numer na numerze. Jeszcze trudniej dopchać się przez cały wagon do przedniej platformy, do pasażerów którzy przez całe życie wbrew przepisom wsiadają przodem, ale za to wysiadają przepisowo — też przodem. I przez całe życie nie płacą, bo kontroler zawsze wsiada przepisowo i zawsze bada skrupulatnie mój abonament pracowniczy, wznajdując w nim tysiączne uchybieńia. Zanim zbada — przednia platforma zdąży wysiąść.

Nie, nie będę wspominał, że w pierwszych latach po wojnie kupowało się bilet ulgowy (1 zł w starej walucie) po prostu za okazaniem legitymacji pracowniczej. Ze później ograniczono ten przywilej do dwóch przejazdów dziennie, do czego upoważniała bardzo prosta wkładka do legitymacji kupowana u konduktora. Ze dzisiejsze kartoniki ze skomplikowanym systemem skąd, dokąd, dlaczego w tę stronę, a nie w tamtą, nie

wydają się niczym uzasadnione: Miejskie Zakł. Komunikacyjne martwią się, że do pracy pójdę pieszo, za to pojedę ulgowo do kina? No to co z tego? Nie pojedę więcej niż te same dwa razy, a zwracania głowy z zamawianiem biletów, ich wypełnianiem w tysiącu instytucji, tysiącem pomylek, godzinami wystaniami w kolejkach przed „odnośnymi” okienkami — pięć razy mniej! Nie mówmy o tym — powiadam. Mówmy o ścisku.

Nikt chyba nie zrezygnuje z jazdy tramwajem dla zaoszczędzenia sumy, która w dzisiejszym układzie plac i cen jest sumą znakomo małą. Misterny i kosztowny system przyznawania ulg nie jest więc ostrożnością, zapobiegającą ścisłowi. Lepszym posunięciem było w różnych instytucjach. Ale wyobraźcie sobie, kochani, dom, gdzie trzy osoby pracują i troje dzieci chodzi do szkoły; nie zapominajcie przy tym, że „przelotowość” szkół jest jeszcze mniejsza niż tramwajów, w związku z czym każdy dzieciak nie tylko ma inną godzinę w ogóle, ale inną — co dzieki! Przecież taki dom staje się szybko domem wariatów; gdzie ojciec je kolację, a matka jednocześnie śniadanie, gdzie wszyscy mijają się w wielkim galopie, żli, ledwie sobie znajomi, fajerki nie stygną, gaz kosztuje, pozmywać nie ma kiedy... Nie wiem ile kosztuje jeden tramwaj średniej wielkości. Musi być jednak okrutnie drogi, skoro przy tylu imponujących, ogromnych, kosztownych inwestycjach, realizowanych na naszych oczach, nie realizuje się rozbudowy taboru tramwajowego. A może to jest jakaś strasznie nieważna sprawa?

No bo właściwie — komu i czemu ma służyć taki przybytek — tramwaj?

CWIEK